W TYM NUMERZE 12-STRONICOWYM DZIAŁ SPECJALNY „NASZA TURYSTYKA"

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 3 SIERPNIA 1935 R. * NUMER 31 (96)

TREŚĆ:

ŹRÓDŁO SIŁY

Pierwsze ćwierć wieku istnienia harcerstwa polskiego można podzielić na dwa główne okresy: na przygotowawczy i bojowy oraz na wychowawczy z gotowością do czynu. Te dwa pojęcia w gruncie rzeczy w wielu okolicznościach uzupełniają się, zazębiają się o siebie, są właściwie często nierozdzielne. A jednak skoro się zechce poddać analizie oba okresy kształtowania się harcerstwa polskiego, podzielone przez wielką wojnę, to pojęcia te, w ślad za przewagą jednego bądź drugiego, mają swoje bezsprzeczne uzasadnienie.

Skauting polski powstał przed 25 laty pod hasłem konieczności walki o niepodległość i celowego przygotowania się do niej już od lat najmłodszych. Zapożyczono wzory obce — szczególnie angielskie — dla ram zewnętrznych, dla organizacji zasadniczej i jej hierarchji, zrazu przyjęto także nazwę obcą: skautingu. Andrzej Małkowski, właściwy twórca i dusza ruchu skautowego we Lwowie, studjował, przyswajał i uprzystępniał do użytku polskiego zasady skautingu angielskiego. Jednakże głównym celem, — od początku przyświecającym drużynom skautowym wpierw we Lwowie, rychło potem w Krakowie, a niebawem w Warszawie i w szeregu innych, szybko powstających ośrodkach pracy skautingowej w Polsce, — nie było, jak gdzieindziej zagranicą w krajach niepodległych, usprawnienie charakteru i organizmów jednostek, podporządkowanych ogólnoludzkim ideałom, lecz przedewszystkiem wzmożenie poczucia narodowego, wartości osobistej Polaka, zmierzającego do zdobycia wolności narodowej i państwowej, odpowiedzialności osobistej za popełniane czyny na wszelkich odcinkach życia społecznego, kształcenie charakteru przez potrójną wstrzemięźliwość, pełnienie dobrych uczynków i bezwzględne posłuszeństwo. *Czuwaj!* — stało się hasłem i zawołaniem harcerskiem, *czuj duch!* — potrzebą i nakazem młodzieży szkolnej. Bo ta właśnie młodzież, wychowywana w Eleusis i w konspiracyjnych związkach młodzieżowych wszelkich odcieni, zapełniła zastępy skautowe, gromadzone w „Sokole". Już w pierwszym roku istnienia skautingu we Lwowie okazało się jasno, że ruchowi temu nie wystarczy hasło sokole „w zdrowem ciele — zdrowy duch!" — zostało ono nawet dość szybko skarykaturowane wśród młodzieży,— okazało się, że rzeczywistym celem rosnących zastępów jest nietylko życie obozowe, wycieczki, tropienie, budowa mostów na trawie, upust naturalnych popędów trampowskich wśród chłopców i dziewcząt, ale raczej tworzenie karnych szeregów żołnierskich. Pamiętam doskonale chwile, gdy pierwsze zastępy harcerskie ćwiczyły u stóp Czartowskiej Skały pod Lwowem. Dość prędko głównym przedmiotem tych ćwiczeń i zajęć stała się musztra, terenoznawstwo. taktyka, a po trudach obozowych i ćwiczebnych przy ognisku najczęstszemi tematami były rocznice powstań i innych ruchów wyzwoleńczych, ideologja wielkiej emigracji polskiej i udział w niej trzech Wieszczów; rozmowy zaś o Polsce bardzo odbiegały od tego, czego uczyliśmy się w szkołach, my, którzyśmy na zjazdach tajnych „Zetu" spotykali się z kolegami z Kongresówki, Poznańskiego, z Kijowa i z Litwy, nie szczędzącymi oględnych coprawda, lecz niemniej przejmujących nas wieści o tamtejszej robocie podziemnej. Toteż nic dziwnego, że niebawem siódmo- i ósmoklasiści ze szkół średnich w latach 1911/12 dość nagle znikali z szeregów skautowych, by znaleźć się nielegalnie w oddziałach Związku Strzeleckiego i Drużyn Strzeleckich. W ten sposób skauting był istotnie organizacją przygotowawczą dla kadr wojskowych, tworzonych przez Komendanta, kadr, które stały się z chwilą wybuchu wojny głównym trzonem Legjonów. W kompanjach zaś legjonowych znaleźli się też wnet druhowie, którzy przed wojną pracowali w Sokole i w Drużynach Bartoszowych. I tu dodać nie zawadzi, że z chwilą rozwiązania nieszczęsnego Legjonu Wschodniego, przedewszystkiem dawni skauci przeszli bez namysłu i wahania do I i II Brygady.

Uroczysta na Wystawie Harcerskiej w Spale „sala poległych", pełna nabożnej żałoby i już legendarnej siły, przypomina te setki nazwisk harcerzy, którzy poznaczyli swoją krwawą ofiarą pobojowiska walk o niepodległość Polski w l. 1914 — 1920. To tragiczna granica okresu przejściowego w dziejach udziału harcerzy w utrwalaniu mocy i chwały Ojczyzny. Wspaniałym dokumentem, dającym przepiękną syntezę czynu harcerzy, jest rozkaz Marszałka Józefa Piłsudskiego, wydany w r. 1921. „Oddając cześć poległym za Ojczyznę kolegom Waszym, wyrażam Wam, harcerze, podziękę i uznanie za dotychczasową służbę". To najwyższe uznanie zasługi.

Po zwycięskich walkach, ustalających granice Państwa Polskiego, zmieniły się niewątpliwie zadania harcerstwa polskiego. Powstał jednolity Związek Harcerstwa Polskiego, który ustalił przyrzeczenie i prawo harcerskie, stanowiące zasadniczy zrąb programu: służba Bogu i Ojczyźnie, sumienne spełnianie obowiązku, pomoc bliźnim, rycerskość, miłość i poznanie przyrody, karność i posłuszeństwo, pogoda, oszczędność, ofiarność, czystość myśli, słowa i uczynku. W tem wszystkiem ustawiczna gotowość, zaprawa do czynu i uprawa radości pracy i życia. Czy to nie komunały, czy to nie formułki bez mocy ziszczenia? Nie, to ramy wychowywania nowych pokoleń, to źródło siły narodu.

Powojenny tok życia Polski, podobnie jak i innych narodów i państw, wykazał jasno nierealność wyłączności przesłanek życia, zawartych w formule zarówno idealistycznej, jak i materjalistycznej. Trudności bytu i powolność rozwoju warunków lepszego życia społecznego i osobistego nie dadzą się rozwiązać na płaszczyźnie dotychczasowych założeń. O lepszą przyszłość trzeba walczyć i ta walka nie skończy się nigdy, gdyż niema kresu pochodu ludzkości ku wciąż doskonalszym formom życia. Polska ma przed sobą wyraźne zadania, wytknięte przez Marszałka Piłsudskiego: pogłębianie wartości etycznych i kulturalnych Narodu, utrwalenie i wzmożenie znaczenia mocarstwowego Polski, sprawiedliwość współżycia z narodami, żyjącemi w granicach Rzplitej. Na XV Zjeździe Walnym, obradującym w Gdyni, uchwalono uznać Marszałka Józefa Piłsudskiego za Patrona Ideowego Związku Harcerstwa Polskiego. „Wielka myśl, potężna ideologja państwowo-społeczna Marszałka Józefa Piłsudskiego została niejako włączona do ideologji harcerskiej, stanowić z nią będzie odtąd nierozerwalną całość". Taką prawdę życia ma teraz spełniać harcerstwo polskie.

Przygotowaniem do walki o cele rozwoju Polski jest praca nad młodzieżą harcerską. W tych ramach organizacyjnych kształtuje się harmonijnie typ człowieka i obywatela polskiego, odznaczającego się wyrobionym instynktem społecznym i umiejętnością życia zbiorowego. Harcerstwo polskie jest najlepszą, urabiającą ideowo kuźnią młodych. Zarówno w najmłodszych zastępach zuchów, jak pośród młodszych i starszych harcerzy, różnemi metodami wychowuje się młodzież ku wielkim celom: ku zahartowaniu charakteru i woli jednostek, umiejących łamać przeszkody w życiu, ku stwarzaniu jednolitych w swej pracy zastępów obywateli, znających Polskę i jej wartości, zapatrzonych w konieczność wielkiej i silnej Polski, pozbawionych egoizmu i sobiepaństwa, ofiarnych i dążących do dobrobytu wszystkich jej mieszkańców, mających równe prawo do pracy i wytchnienia. Metoda dotychczasowa, polegająca na zaprawianiu młodzieży do trudów życia obozowego, do stykania się z przyrodą i ludźmi z różnych sfer na rozlicznych wycieczkach i wyprawach krajoznawczych, do kultu ziemi ojczystej i ochrony jej piękna, do kultywowania zdrowia moralnego i fizycznego przez uprawę ideałów religijnych i narodowych, oraz przez umiejętnie selekcjonowane zabawy sportowe, — ta metoda należycie zdała egzamin przez ćwierćwiecze istnienia harcerstwa polskiego, tak że nie potrzeba jej zmiany. Należy ją raczej doskonalić, ściślej jeszcze złączyć z pogłębianiem kultu wielkiej przeszłości Polski, z nieprzemijającemi wartościami, płynącemi ze znajomości prawd historycznych również z okresu upadku naszej państwowości i walk o niepodległość Narodu polskiego. W tym realiźmie poznawczym i w uświadamianiu sobie objektywnego programu naszych przyszłych dróg i celów — istnieją źródła siły. Ruch ideowy harcerski oprzeć się również musi na planowem poznawaniu rzeczywistości życia narodowego i państwowego Polski. Światła i cienie dzisiejszości polskiej muszą być znane harcerzom, aby ich chronić zarówno od zwątpień, jak i od zbytniego zadufania i megalomanji, które są jednakowo szkodliwe. Ruch harcerski w Polsce winien być ruchem narodowym, wychowującym młodzież w ramach ideologji państwowej. Stąd musi wyrastać zrozumienie konieczności ciągłego pogotowia do obrony granic naszego Państwa, pokonywania wrogów wewnętrznych, fałszywych proroków, zmierzających do osłabienia Państwa Polskiego, przez wywrotową i rozkładową propagandę, nieodzowności podporządkowania swojego życia osobistego dobru Państwa i Narodu. I tu nasuwają się wskazania Marszałka, który stwierdził: „Harcerzy widzi dziś Polska wszędzie, gdzie jest robota — i na froncie i wewnątrz kraju. Widzi szczególnie tam, gdzie robota cięższa, gdzie łatwo głowę położyć!"... Oto nietylko zaszczytne stwierdzenie przez Wodza Narodu pracy dotychczasowej harcerstwa polskiego, lecz zarazem i wieczny jego program.

*

Jubileuszowy Zlot harcerski w Spale był „gorącym manifestem czci, jaką złożyła harcerska Polska pamięci Hetmana Jej ducha. Marszałek żyć będzie w dwustutysięcznej masie harcerskiej jak i w sercu każdej jednostki tej masy. Potężny duch Jego raz jeszcze owładnie swem panowaniem tę Polskę najmłodszą, najbardziej harcerską". Na Zlot w Spale przybyło trzydzieści kilka tysięcy harcerzy polskich, oraz liczne reprezentacje skautów zagranicznych, bardzo gościnnie przyjęte i serdecznie podejmowane. Wymownym aktem uznania i miłości harcerstwa było zaproszenie Zlotu do siedziby letniej Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, który w otoczeniu Rządu otworzył w dniu 14 lipca uroczyście Zlot i przyjął wspaniałą defiladę harcerzy.

Organizacja Zlotu zasługuje na najgorętsze pochwały. Naczelnictwo Zlotu, z wojewodą M. Grażyńskim na czele, dało imponujący pokaz tak rzadkiej u nas dyscypliny masowej i niezwykłej sprawności harcerskiej. W odwiecznej puszczy spalskiej na rozległych obszarach wzdłuż Pilicy, po obydwu jej brzegach, rozłożono obozy drużyn męskich i żeńskich. Wszędzie panował wzorowy ład i czystość, wszędzie widać było dążenie do estetyki i użyteczności w urządzaniu obozów. Ogrom pracy wykonanej przez zastępy Junaków zapewnił obozom łatwy dostęp, higjenę i oświetlenie elektryczne. Zbratanie się harcerzy z junakami to najlepszy dowód uznania i wdzięczności za duży trud, włożony w przygotowanie wygodnych i wzorowych ram obozowych w puszczy. Jeżeli zaś kto mógł mieć wątpliwości co do rzeczywistości wyszkolenia w życiu obozowem harcerzy i co do możliwości realnego korzystania z ich rozmaitych sprawności — ten mógł bez trudu przekonać się o zupełnej bezpodstawności tych obaw. Całość organizacji życia tej wielotysięcznej masy harcerskiej była opanowana bez zarzutu przez samych harcerzy; a więc służba łączności, aprowizacja, prasa codzienna, pomoc sanitarna, bezpieczeństwo, regulowanie ruchu w granicach obozu, przyjmowanie tysięcy odwiedzin gościnnie a z umiarem i t.p., wszystko to polegało na umiejętnościach organizatorskich harcerzy. (Niegodziwe plotki o głodzie w obozach etc., puszczone przez *Czas*, a skwapliwie powtórzone przez marne brukowce, są krzywdzącą nieprawdą, zasługującą na bezwzględne potępienie).

Mimo niezbyt sprzyjających warunków atmosferycznych nie widać było nigdzie przygnębienia, czy niezadowolenia. Przeciwnie, pogoda i wesołość panowała wszędzie, radość z powodzeń w rozlicznych zawodach nagradzała trudy ciężkiej służby. Równie dziarsko jak harcerze wytrwały na Zlocie też harcerki. Wszędzie karność, wszędzie uprzejmość dla gości, którzy nie czuli się zgoła ciężarem dla gospodarzy. Przy ogniskach nastroje uroczyste i skupione, albo wesołe i figlarne, zależnie od tematów pogawędek i pieśni, komponowanych zawsze w harmonijną całość. Młodość panowała wszechwładnie.

Na osobną wzmiankę zasługują pokazy harcerskie. W olbrzymiej hali drewnianej, zbudowanej dawniej z racji dożynek spalskich, wystawiono na scenie (podczas deszczu) inscenizacje regjonalne. Do udatnych pokazów w dniu 14 lipca należy zaliczyć inscenizację przez Ośrodek Bydgoski 11 wierszy Kasprowicza ze zbiorku *Mój Świat*, tudzież pracowicie wyreżyserowane obrazy z życia Górnego Śląska, wykonane przez Ośrodek Śląski.

Część hali dożynkowej zajęła świetnie pod względem rzeczowym i artystycznym opracowana wystawa: „Harcerstwo w ćwierćwieczu swego rozwoju". Uwzględniono na wystawie działy: ideowy, historyczny i doby obecnej. Specjalną salę poświęcono Marszałkowi Piłsudskiemu, gdyż w promieniach Jego ideologji powstało i rozwijało się harcerstwo polskie.

Zlot jubileuszowy był wymownem świadectwem wielkiego znaczenia harcerstwa w systemie wychowania narodowego, wielkiej mocy organizacyjnej i niewątpliwej prawdy, że w ruchu harcerskim tkwi u nas niewyczerpane źródło siły przyszłych pokoleń.

W. A.

OPOZYCJA TEATRALNA PANA A. SŁONIMSKIEGO

Zdaję sobie sprawę, że pisać cały artykuł o jednej z ostatnich kronik tygodniowych p. Słonimskiego, zwracającej się przeciwko działalności organizacyjnej i artystycznej Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce — to jednak wielka przesada. P. Antoni Słonimski poświęcił temu Towarzystwu tyle miejsca w swych cotygodniowych wypadach, tyle razy obsypywał je stekiem złośliwości, że ostatni atak wydawać się może raczej przesłodzony i pełen niewiary, że cośkolwiek można tu na drodze wymysłów osiągnąć. Ponieważ jednak atak ten nastąpił w krótkim czasie po słynnej już dziś recenzji p. Słonimskiego z *Wyzwolenia*, że przy tej sposobności wiele się wyjaśniło, może właśnie będzie na miejscu uczynić rekapitulację.

P. Słonimski od pierwszej premjery Towarzystwa z przed niespełna dwu lat darzył je najdalej idącą nieżyczliwością. Teatr jest już taką instytucją, że można w nią walić z wszelkiemi pozorami słuszności mniej więcej co miesiąc, gdyż mniej więcej co miesiąc nowa premjera daje materjał do ataków. Ponieważ Towarzystwo zaczęło odrazu od dwu teatrów, od roku zaś blisko prowadzi ich pięć, przeto p. Słonimski miał sposobność pisać źle o Towarzystwie i jego teatrach mniej więcej co tydzień. Jest to poważna subwencja, jaką Towarzystwo przyznało *Wiadomościom Literackim*, które, kontynuując dawną tradycję *Sowizdrzała*, z recenzji teatralnej właśnie uczyniły sobie najbardziej ucieszny i nieodpowiedzialny kącik humorystyczny.

Pisać jednak o sztukach i ich wystawieniu, to znaczy bądź co bądź pisać o rzeczach znanych większości czytelników. P. Słonimski rozszerzył przeto dział teatralny specjalnie dla użytku T. K. K. T., wcielając działalność instytucji do najulubieńszych tematów swoich kronik tygodniowych. Tu już nietylko można było nie liczyć się z żadną kontrolą czytelników. ale poprostu oprzeć się o nieprawdę jako broń zasadniczą i o plotkę jako metodę publicystyczną. Ten hiperkrytyczny umysł, któremu żaden autorytet nie jest w stanie zaimponować, ten niezależny nawet od własnego redaktora pisarz i publicysta, tu począł pozować na naiwnego plotkarza, dla którego informacje pierwszego lepszego kompana od czarnej kawy urastają do objawienia, zaś każda z teatralnych pogłosek do prawd najbardziej pewnych i niewzruszonych.

Przez dwa lata p. Słonimski troszczył się tedy o skarb państwa. który na teatrach robi kiepskie interesy. Pod tą chwalebną obawą kryła się inna, ważniejsza: aby teatry nie stały się w rękach obozu rządowego bronią propagandową, aby śladem teatrów sowieckich i hitlerowskich nie podporządkowały spraw artystycznych politycznym. Słonimski występował tu jako rzecznik kół liberalnych, które w Polsce bardzo wiele energji zużywają na walkę z własnemi urojeniami. Miało to przynajmniej posmak jakiejś walki, wprawdzie prowadzonej najczęściej insynuacjami i kłamstwami, ale walki o zasady. Dopiero ostatnio okazało się, że i to nie jest najważniejszy powód opozycji teatralnej p. Słonimskiego.

P. Słonimski jest w sprawach teatru krańcowym konserwatystą. Jego koncepcja teatru odpowiada pokoleniu Łęckiego z *Lalki*. Czytając jego ostatnią kronikę teatralną. możnaby przypuszczać, że pisał ją jakiś starszy, zramolizowany pan o historycznem nazwisku, należący ongiś do świty „hrabiego Gucia". Organizacja teatru winna bowiem, zdaniem p. Słonimskiego, wzorować się na organizacji bałaganu, załapującego pieniądze gdzie się da i gdzie się nie da, i wyzyskującego „freudowską podświadomą żądzę posiadania aktorek" przygodnych finansistów.

„Tradycyjny ten bieg rzeczy skończył się — pisze z melancholją p. Słonimski — gdy państwo roztoczyło opiekę nad teatrami". Ten niewątpliwy komplement, jaki państwo spotkał od autora *Wieży Babel*, nie jest jednak w pełni zasłużony. W Polsce przecież oddawna już były teatry zarówno samorządowe jak prywatne, w których „żądza posiadania aktorek" nie była motywem decydującym.

Jak wynika z wywiadu, udzielonego przez p. Słonimskiego redakcji *Wiadomości Literackich* za pośrednictwem p. Galisa, autor *Rodziny* przywiązuje obecnie wielką wagę do teatru jako do rezonatora swoich poglądów publicystycznych. Widocznie konstrukcja teatru na wzór bałaganu wydaje mu się najbardziej odpowiednia do tego celu. Mimo to działalność anty-kakatetyczna p. Słonimskiego dzieli się na rozdziały, pomiędzy któremi autor groźnych kronik usiłuje wejść z teatrami Towarzystwa we współpracę bardziej dla komedjopisarza właściwą i intratną. Tak było z ofertą w sprawie *Rodziny*, która gotowa się była poniżyć do scen Towarzystwa, tak było niedawno z propozycją adaptacji *Lalki* Prusa dla użytku sceny.

W momentach wolnych od takich pertraktacyj, teatry Towarzystwa, wedle konkluzji p. Słonimskiego, niczem nie usprawiedliwiają swego istnienia. Cały szereg spraw uregulowanych przez Towarzystwo, zagadnienie repertuaru zmiennego, ograniczenie do jednego teatru repertuaru czysto rozrywkowego, umożliwienie reżyserom twórczej rywalizacji w pełni środków aktorskich i technicznych na scenach różnorodnych — są to sprawy wprawdzie dobrze p. Słonimskiemu znane, ale przyznawane niechętnie. Niech sobie przeczyta zresztą p. Słonimski *résumé* ostatniego sezonu w *Kurjerze Porannym* pióra Boya-Żeleńskiego, a więc krytyka, który nie puścił płazem teatrom Towarzystwa ani jednego potknięcia, a który jednak bezstronnie stwierdza owoce dotychczasowej działalności Towarzystwa.

P. Słonimski ma znakomite informacje, dotyczące sum wydawanych na teatry Towarzystwa. Są podobno bardzo wielkie. Miały być przeznaczone na forsowanie ideologji rządowej. P. Słonimski drżał, że zamiast niego i jego kolegów teatry grać będą sztukę p. wicemarszałka Cara p. t. *Konstytucja*, p. posła Podoskiego p. t. *Ordynacja wyborcza* lub zamówioną *ad hoc* pochwałę Ubezpieczalni Społecznej w 5-ciu aktach. Jeden z kolegów recenzentów p. Słonimskiego napisał niedawno, że Teatr Letni, prowadzony przez Towarzystwo, jest miejscem najswobodniejszej satyry politycznej. Czyżby więc obawy p. Słonimskiego były wzięte z imaginacji? A może poprostu od pewnego czasu zatamowane talenty satyryczno-rewjowe p. Słonimskiego domagają się stosowania zasady: jeden Tuwim, jeden Hemar, jeden Słonimski.

Gruntowne i pełne złej woli nieporozumienie. Teatry Towarzystwa grają i będą grać repertuar najpełniej, najwszechstronniej, najpiękniej ideowy. Będą grały Szekspira, Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego. Jeżeli krytyka w rodzaju p. Słonimskiego nie będzie im w tem demagogicznie przeszkadzać, będą grały Norwida, nawet Cocteau, nawet Giraudoux. A przedewszystkiem będą grały *Wyzwolenie*, które p. Słonimskiego tak bardzo rozdrażniło, do którego, mimo kunsztownie ułożonych odżegnywań, czuje tyle niechęci. Ta krótka i wymowna recenzja, którą p. Słonimski napisał a p. Grydzewski wydrukował, daje teatrom Towarzystwa pełną satysfakcję za całą dotychczasową kampanję *Wiadomości* przeciwko jego teatrom. Okazuje się, że mówimy innemi językami. Wyrazy posiadają dla nas inne znaczenie. Zagadnienie zniwelowania ras nie jest dla nas tak ważne, żeby wykreślić Wyspiańskiemu maskę, rozmawiającą z Konradem o małżeństwach mieszanych. Nie zadaptujemy *Wyzwolenia* jak *Pięknej Heleny* do użytku publicystów, walczących z urojonemi systemami faszystowskiego rządzenia. „Człowiek teatru", wedle nomenklatury p. Słonimskiego, najpewniej nie byłby wystawił podczas Żałoby Narodowej *Wyzwolenia*. Być może wystawiłby raczej *Lekarza bezdomnego*. Niech i tak będzie.

Gdyby się p. Słonimski był ograniczył do interpretacji czysto literackiej, gdyby z nieuctwem, godnem jego wiedzy antropologicznej, poprzestał na tłumaczeniu nam istoty błędu, jaki popełnił Wyspiański, kładąc w usta Konrada słowa „Poezjo, precz!", należałoby go poprostu odesłać do pierwszego lepszego studjum, gdzieby się dowiedział, o co właściwie chodzi w tej scenie i o jakiej to poezji, w jakiem użytej znaczeniu, mówi w *Wyzwoleniu* Wyspiański. Ale p. Słonimski wychodzi poza zagadnienia literackie i konfrontuje Wyspiańskiego z własnem poczuciem narodowego sumienia. Tu kończy się wszelka dyskusja. Lepiej już wszystko znieść w pokorze ducha i ofiarować za grzechy najcięższe. Można tylko pocieszać się, że chyba *Boska Komedja* Dantego nie będzie wystawiona na scenie i że recenzja z tego utworu, pióra p. Słonimskiego, będzie nam jednak oszczędzona.

Trzy czwarte faktów podanych przez p. Słonimskiego o teatrach Towarzystwa w ciągu jego dwuletniej z niemi walki nie odpowiada prawdzie. Prawdą natomiast jest, że teatry T. K. K. T. w czasach najcięższej konjunktury ekonomicznej grały w ostatnim roku *Dziady*, *Wyzwolenie* i *Sen nocy letniej* w nowych twórczych inscenizacjach; że na afiszu utrzymywały Kochanowskiego, Fredrę, Bilzińskiego, drugiego Szekspira, Schillera, Shawa, Rostworowskiego i Cocteau; że grały utwory Pawlikowskiej, Szaniawskiego, Winawera i innych, że wreszcie pozwoliły debiutować Choromańskiemu. Że stworzyły planową sieć przedstawień szkolnych oraz rozwinęły społecznie doniosły system abonamentów. Ze zorganizowały na sezon przyszły teatry dzielnicowe dla warstw najszerszych. Że zapewniły zespołowi warunki dobrej pracy artystycznej i pewność materjalnego oparcia. Że wreszcie unormowały spożycie pieniędzy publicznych, przywracając wydawaniu ich dobrze pojętą celowość.

Gdyby bowiem p. Słonimski wiedział coś o sprawie teatralnej więcej, niż może usłyszeć z Ziemiańskiej, natknąłby się na tę niewątpliwą prawdę, że w obecnym okresie dekonjunktury teatry w Polsce są subwencjonowane dwojako: dobrowolnie i przymusowo. Bądź przez świadome wydzielanie ich przez źródła subwencyjne, bądź przez automatyczne zadłużanie się teatrów prywatnych czy zrzeszeniowych w instytucjach dobra publicznego. Jeżeli od subwencyj, bynajmniej niewysokich, które zużywa Towarzystwo, odjąć wypłacone świadczenia podatkowe i społeczne, to okaże się, że subwencja zakreśliła tylko koło i powróciła do kieszeni publicznej. Natomiast system prowadzenia teatru na zasadach wyzyskiwania „podświadomej żądzy posiadania aktorek" poza posmakiem natury moralnej, którego p. Słonimski zdaje się nie wyczuwać, posiada również swój odpowiednik w gospodarowaniu pieniędzmi publicznemi: tam w płaceniu deficytów biorą wbrew własnej woli żywy udział instytucje powołane do najzupełniej innych zadań, drogą nieuchronnego i stopniowego zadłużania się przedsiębiorcy, kończącego w rezultacie bankructwem. Chcąc zaś porównać sprawność gospodarczą T. K. K. T. z innemi dobrze prowadzonemi teatrami w Polsce, trzeba opierać się na znajomości cyfr prawdziwych, zamiast powtarzać jak nakręcona pozytywka ulubioną piosenkę o olbrzymich deficytach. za które p. Słonimski nic nie ma.

Ale na to trzebaby innego poczucia odpowiedzialności za pisane słowo niż to, którem się autor kronik może wylegitymować.

WŁ. ZAWISTOWSKI

REFLEKSJE NA TEMAT WSI I KSIĄŻKI

Zagadnienie wsi, zarówno pod względem gospodarczym, jak i społecznym, jest jednem z najważniejszych w państwie. Chwila dziejowa narzuciła gromadom chłopskim zadania, do których nie były przygotowane, i dlatego nie odegrały w pierwszych latach tworzenia Państwa Polskiego właściwej roli.

Rozbudzony przed wojną pęd ku wiedzy i poznaniu nowego życia niewiele dobrego przyniósł samej wsi. Bowiem zdolni synowie chłopscy, którzy często kosztem wielkich poświęceń ojców, w samozaparciu i trudzie szli na wyższe studja i wybijali się potem wśród inteligencji, przeważnie zrywali ze wsią i wstydzili się swego pochodzenia. Był to objaw fatalny, bo przekreślał najcenniejsze momenty ich walki; przystosowując się do nowych form życia, sami odcinali się od ziemi, z której czerpali soki żywotne. Stąd tak mało zaważyli na życiu polskiem; stawali się ludźmi, którzy tylko biorą, a nic nie dają. Uczony syn nie umiał rozmawiać z wiejską rodziną, pomiatał nią, a zarazem i obyczajem dawnym, i starą kulturą, i mądrością ludzi, których całe wieki uczyła przyroda.

A wieś ubożała o jednostki zdolne, silne.

Kasprowicz górnemi chodził szlakami i porał się z ciężkiemi zagadnieniami, lecz gdy stanął wobec tragizmu własnej powolnej śmierci, sięgnął w przeszłość i uderzył w ton najwyższy i najtrudniejszy — wielkiej prostoty, by słowami Janosika mądrość dziadów-chłopów wyłożyć.

Czujny etyk, Stanisław Witkiewicz, już lat kilkadziesiąt temu pisał o gaździe, który chciał posiąść wiedzę, a mimo to pozostać polskim chłopem. Rzecz wonczas była trudna, teraz jest na szczęście łatwiejsza.

Kilkanaście lat istnienia szkoły powszechnej dokonało na wsi olbrzymich przeobrażeń, o niedocenianem społecznem znaczeniu. Przybyły zastępy ludzi, którzy mają za sobą 7 oddziałów szkoły, którzy czytają książki i nie emigrują do miast. I im i tym, co poszli dalej — do szkół zawodowych, do seminarjów — wpojono poszanowanie dla kultury wsi, dla jej obrzędów, pieśni, obyczajów, rękodzielnictwa, przez wciągnięcie tej młodzieży do prac regjonalnych.

Są już teraz wsie, które w młodem pokoleniu mają po kilkanaście kobiet i mężczyzn z wyższem wykształceniem. Pracują oni rozrzuceni po świecie, ale wszyscy ściągają ze swemi nowemi rodzinami na lato w ojczyste strony, myślą o potrzebach swoich zagonów i swojej wsi. Ci nie wyrwali korzeni z macierzystej ziemi. Niema przepaści między ich miejskiem mieszkaniem a starą chatą. Przeciwnie, istnieją mocne związki miłowania. które sprawia. że ci, co zdobyli wiedzę i rozszerzyli horyzonty myśli, dźwigają ku nim sąsiadów, mają poszanowanie dla przeszłości, a są świadomymi twórcami przyszłości.

Przyzwyczajeni do piorunowego tempa przemian, ludzie miastowi zbyt jednak wygórowane zaczęli tej młodej wsi stawiać wymagania (Skiwski: *Przemilczany najazd*, por. *Pion*, 1934, nr. 16), zwłaszcza w spłacaniu przez nią długu literaturze. Ale jeśli sięgniemy w głąb czternastego, piętnastego wieku, to nieporadne wierszyki o świętym Aleksym i łacińska proza również słabe dają wyobrażenie o narodzie, który przeżył przełom piastowy i po zwycięstwie grunwaldzkiem kroczył na czele Europy.

Chłopscy autorzy, jak Kuraś, Magryś, Słomka, tworzą rzeczy ciekawe dla badaczy budzącej się duszy wsi.

Młodzież wiejska nie potrafiła jeszcze wyrazić w słowie pisanem tych głębokich, skomplikowanych spraw, które ją do głębi przejmują. Niemniej jednak jest ona niezmiernie wrażliwym czytelnikiem i nieraz w dyskusjach na koleżeńskich zebraniach wypowiada swój sąd krytyczny o książkach i próbuje formułować swe wymagania.

Ci młodzi, którzy zdobyli matury i dalsze dyplomy, zarzucają literatom, opisującym wieś, że znają ją tylko po wierzchu, a nie przeniknęli do środka, dopominają się, by życie i trud polskiego chłopa, jego rola w życiu społecznem Polski znalazły swój oddźwięk w prozie i poezji. Oburza ich *Mateusz Bigda* Kadena, odrzucają modne reportaże, które, jak taśma kinematograficzna, chwytają tylko zewnętrzny ruch.

W epoce *Sag Forsytów, Nocy i Dni* narzuca się wprost konieczność utrwalenia w dziele literackiem tych głębokich przemian, jakie w ostatnich paru dziesiątkach lat przeszła i dalej przeżywa wieś polska. Dzieło takie utorowałoby może koryto nowemu prądowi, który pokryje żyznym namułem drobiazgi zacieśnionych podwórek, łamańce psychologiczne „dusz w mroku", nieczystości życia, docierającego „do kresu nocy".

Inżynierowie, lekarze, prawnicy, którzy żyłami pulsującej krwi są ze wsią związani, chcą i w książkach znaleźć swobodny oddech szerokich pól, twórczy świat ludzi, związanych z potężną przyrodą. A równocześnie ci młodzi, którzy dalej chodzą za pługiem i trwają w ciężkim rolniczym trudzie, a poza szkołą powszechną mają co najwyżej zimowe kursy, odmienne stawiają żądania: nie chcą książek o chłopie, o gnoju, bo dosyć tego widzą co dnia. Oni chcą książek, któreby ich dźwigały wzwyż, pobudzały myśl i serce, któreby im mówiły o Bogu i sprawach społecznych, o historji i krajach dalekich.

Młodzież wiejska czyta, chce czytać jak najwięcej, bo dobrze rozumie, że po wejściu w codzienne gospodarskie prace tylko książka i gazeta umożliwią jej utrzymanie kontaktu z nowopoznanym światem.

A czy nasza prasa odpowiada potrzebom wsi?

Czy książki, właśnie te w ostatnich latach wydane, pokrzepią ją, będą jej zachętą do dalszej pracy, nad wychowaniem nowego, pełnego człowieka? Czy dla wsi są rzeczy Wiktora, Kurka, Antoniny Sokolicz, Kruczkowskiego?

Z rzeczy dawniejszych jest czytany Dygasiński, Sienkiewicz (z wyjątkiem *Bartka Zwycięzcy);* Orkana, mimo pewnego nawet nacisku, w niewielu można znaleźć bibljotekach; Reymont prawie zupełnie się „nie podoba"; Żeromski często dosłownie „opętuje" młodych potęgą swego żywiołowego talentu.

Nie może być obojętnym dla polskiej przyszłości i kultury fakt, że gdy jednych wychowywał wiszący na ścianie ciemny krzyżyk z Olszynki, a historji uczyły niewprawną ręką na starej Biblji czynione zapiski: „Dziś Franciszek z wojny powrócił, był pod Wiedniem", — drugich credem ma stać się namiętny odzew Deczyńskiego, rzucony w twarz podchorążym, biegnącym ulicami Warszawy w dniu 29 listopada 1830 roku:

> „Nie znam wroga moskiewskiego!...
> Nie znam cara!
> Moim wrogiem są ciemięzcy ludu chłopskiego, których znam dobrze! Których synami wy jesteście.
> Nic mi do Waszej rewolucji, panie podchorąży! Mojego ojca twój ojciec batogiem wychłostał — pamiętam..." *(Kordjan i Cham)*.

Czyżby miniona krzywda socjalna miała przekreślić dla olbrzymiej większości obywateli Polski całą jej dawną przeszłość i zerwać z nią więzy?

W istocie, wieś ogromnie potrzebuje nowych książek, za które autorzy ponosiliby moralną odpowiedzialność, któreby się stały motorem twórczym i wpajały przekonanie, że kształtowanie życia od nas zależy, a trzeba, abyśmy je tworzyli dobrem i pięknem.

Z. DŁUŻEWSKA-KAŃSKA

NASZA TURYSTYKA

OD REDAKCJI.

Zagadnienie turystyki w Polsce nabiera z każdym rokiem większego znaczenia. Można je rozpatrywać w perspektywie wychowawczej, rozrywkowo-wypoczynkowej, gospodarczej i społecznej. Zmienność prawdziwie interesujących i pięknych krajobrazów od Karpat po Bałtyk, od Wielkopolski i Śląska po Polesie i Wileńszczyznę, włącza ziemie Polski do ciekawszych pod względem turystycznym krain w Europie. Polska mało jest jeszcze znana obywatelom Rzeczypospolitej, urządzenia zaś turystyczne pozostawiają u nas wiele do życzenia i utrudniają jeszcze poznawanie naszego kraju przez cudzoziemców. Z roku na rok jednak polepsza się ten stan rzeczy, dzięki wytężonej pracy Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji, zarządów większych miast i poważnych towarzystw turystyczno-krajoznawczych. W porozumieniu z Wydziałem Turystyki Ministerstwa Komunikacji wydajemy niniejszy dział „Nasza Turystyka", celem zwrócenia uwagi czytelników „Pionu" na możliwości turystyki polskiej i na malownicze strony naszego kraju, które poznać warto, a zwiedzić nietrudno.

TATRY I BESKIDY ZACHODNIE

Najsilniej frekwentowanym terenem turystyczno-uzdrowiskowym Polski są niewątpliwie południowe powiaty woj. krakowskiego i Beskidy Śląskie na przestrzeni od Cieszyna po Krynicę. Rozsiadły się tu największe zakłady kąpielowe i stacje klimatyczne Polski; do miejscowości położonych w tych górach przybywa na lato conajmniej 150.000 gości z całej Polski. Sama tylko Krynica, Zakopane, Rabka, Szczawnica, Żegiestów i Muszyna posiadają frekwencję około 90.000 gości w miesiącach letnich, pozatem sporo tu letnisk mniejszych, jak Wisła, Ustroń, Bystra, Jaworze, Istebna, Zwardoń, Szczyrk, Milówka, Rajcza, Węgierska Górka, Jeleśnia, Korbielów, Chabówka, Czorsztyn, Krościenko, Bukowina, Poronin, Rytro, Mszana Dolna, Piwniczna, Łomnica i t. d.

W żadnych górach w Polsce nie spotkamy tak licznych rzesz turystów, nigdzie nie ma tak gęstej sieci znakowanych ścieżek turystycznych, ani tak wiele schronisk dla turystów, jak w Beskidach i Tatrach.

Nie mam bynajmniej zamiaru opisywać Tatr i Beskidów Zachodnich, ani podawać dotyczących tych gór charakterystyk geograficznych. Ograniczę się zatem tylko do podania do wiadomości niektórych szczegółów, które mogą być potrzebne przy organizowaniu wycieczek w Tatry i Beskidy Zachodnie, szczegółów o charakterze informacyjnym.

Członkowie pięciu organizacyj turystycznych, a to Polskiego Tow. Tatrzańskiego, Polskiego Tow. Krajoznawczego, Polskiego Zw. Narciarskiego, Polskiego Zw. Kajakowego i Tow. Turystycznego Beskidenverein, o ile jadą na wycieczkę złożoną conajmniej z 5 osób, posiadają z n i ż k i wynoszące około 33% ze wszystkich ważniejszych miejscowości w Polsce do ważniejszych stacyj turystycznych w Beskidach Zachodnich (analogicznie jak w innych okolicach Polski). Członkowie wymienionych towarzystw zniżki indywidualne otrzymują tylko w postaci biletu na 1000 km. względnie 2500 km. w cenie 30 zł. względnie 60 zł. za III kl. pociągu osobowego, z prawem użycia tylko przy podróżach do pewnych określonych stacyj turystycznych. Z Krakowa, Katowic i Bielska oraz innych miast w woj. śląskiem i krakowskiem ważne są w soboty i niedzielę bilety powrotne po cenie ulgowej do szeregu stacyj w Beskidach Zachodnich, względnie do Zakopanego, indywidualnie wymienionych dla każdej miejscowości zosobna.

Uzupełnieniem komunikacji kolejowej jest k o m u n i k a c j a a u t o b u s o w a. Na niektórych linjach w Beskidach Zachodnich jest ona jeszcze w ręku przedsiebiorstw prywatnych (w Beskidach Śląskich, w pow. żywieckim, wadowickim, bialskim). Na innych komunikację utrzymują autobusy Polskich Kolei Państwowych. Taryfa za przejazd temi autobusami została w b. roku zunifikowana i wynosi 10 gr. za 1 km. Autobusy P. K. P. obsługują najważniejsze dla ruchu turystycznego miejscowości w tych górach. W szczególności kursują one na linjach a) Kraków — Rabka — Zakopane, b) Kraków — Sucha — Maków — Zawoja u stóp Babiej Góry, c) Nowy Targ — Szczawnica — Nowy Sącz — Krynica (względnie Zakopane — Krynica przez Szczawnicę), d) Rabka — Mszana Dolna — Limanowa — Nowy Sącz, e) Kraków — Bochnia — Nowy Sącz — Krynica, f) Tarnów — Nowy Sącz — Krynica, g) Zakopane — Morskie Oko, h) Zakopane — Dolina Kościeliska — Chochołów — Czarny Dunajec. Na większości linij kursują autobusy kilka razy dziennie (od 5 do 10), jedne stale, drugie w razie zapotrzebowania. Rozkład jazdy na bieżący sezon wyszedł z druku nakładem Biura Komunikacji Samochodowej P. K. P. Podaje on też odległości w kilometrach i taryfę za przejazd.

Specjalne znaczenie dla turystów mają linje autobusowe Zakopane — Morskie Oko, Zakopane — względnie Nowy Targ — Szczawnica, umożliwiająca dojazd w Pieniny, oraz Maków — Zawoja, ułatwiająca wycieczki na Babią Górę.

Zarówno Beskidy Zachodnie, jak i Tatry są bardzo intensywnie zagospodarowane pod względem turystycznym. G o s p o d a r k ę t u r y s t y c z n ą prowadzi tu przedewszystkiem Pol. Tow. Tatrzańskie (Kraków, Potockiego 5), oraz liczne oddziały, których liczba członków dochodzi niejednokrotnie do kilku tysięcy. W okolicy Bielska w grupach Klimczaka i Magórki, a częściowo na Babiej Górze i w okolicach Pilska prowadzi gospodarkę turystyczną towarzystwo turystyczne *Beskidenverein* z Bielska (Wzgórze 14), liczące około 2000 członków. Obydwa te towarzystwa zajmują się zarówno budową schronisk, jak i znakowaniem ścieżek. W ostatnich latach przybyło w Beskidach Zachodnich i Tatrach również kilka schronisk należących do klubów narciarskich, względnie innych organizacyj turystycznych, i tak Tow. Turystycznego „Przyjaciele Przyrody" z Bielska, Żyd. klubu sportowego Makkabi z Bielska, Warszawskiego Klubu Narciarskiego, oraz Tatrzańskiego Tow. Narciarzy z Krakowa. Pozatem istnieje stosunkowo gęsta sieć schronisk prywatnych, a dla użytku młodzieży szkolnej schronisk wycieczkowych szkolnych, które mieszczą się na okres wakacyjny przeważnie w budynkach szkolnych.

S c h r o n i s k a w Beskidach Zachodnich i w Tatrach są przeważnie zagospodarowane, t. j. połączone z restauracjami i otwarte przez cały rok. Ceny noclegów wynoszą 2 — 3 zł. od osoby dziennie, dla młodzieży szkolnej znaczne ulgi.

Rozpoczynając od zachodu, w Beskidach Śląskich istnieją schroniska P. T. Tatrzańskiego na Baraniej Górze przy źródłach Wisły (miejsc 91), na Równicy (łóżek 62) i na Stożku (łóżek 60). Beskidenverein ma schronisko na Klimczaku (150 miejsc) i na Magórze (80 miejsc), „Przyjaciele Przyrody" na Błatniej (36 miejsc). Szkolne schroniska noclegowe istnieją w Bielsku Brennej, Cieszynie, Istebnej, Jaworzu, Koniakowie, Ustroniu, Wapienicy i Wiśle.

Na zachód od Beskidów Śląskich a na północ od linji kolejowej Żywiec — Sucha ciągną się t. zw. Małe Beskidy, w części zachodniej zagospodarowane przez Beskidenverein (schronisko na Magórce 60 łóżek), w części wschodniej przez Koło P. T. Tatrzańskiego w Wadowicach (schronisko na Leskowcu, miejsc 20).

Wzdłuż granicy polsko-czechosłowackiej od Zwardonia po Jordanów ciągnie się główne pasmo Beskidów Zachodnich ze słynnemi z pięknego widoku na Tatry i wspaniałych zjazdów narciarskich szczytami Racza Hala (1236 m), Pilsko (1558 m) i Babia Góra (1725 m). Grupa ta Beskidów Zachodnich jest bardzo bogata w schroniska turystyczne. W Zwardoniu stoi schronisko P. T. Tatrzańskiego (100 łóżek), pod szczytem Wielkiej Raczy mniejsze schronisko P. T. Tatrzańskiego na 30 łóżek, na Boraczej Hali (854 m) k. Milówki schronisko Żydowskiego Tow. Makkabi z Bielska (52 łóżek), pod szczytem Lipowskiej (1302 m) schronisko Beskidenvereinu (o 22 łóżkach), pod szczytem Pilska (1333 m) schronisko P. T. Tatrzańskiego (120 miejsc), wreszcie pod szczytem Babiej Góry dwa schroniska, bliższe szczytu należące do Tow. Beskidenverein (50 miejsc), i niżej na Markowych Szczawinach schronisko P. T. Tatrzańskiego o 23 łóżkach.

Na wschód od linji kolejowej Chabówka — Nowy Targ ciągną się Gorce z najwyższym szczytem Turbaczem (1311 m). Tuż pod szczytem znajduje się obecnie w budowie nowe schronisko P. T. Tatrzańskiego, dające tymczasowo pomieszczenie na 30 osób. W połowie drogi z Turbacza do Rabki na t. zw. Starych Wierchach stoi drugie schronisko P. T. Tatrzańskiego o 20 łóżkach. Na szczycie Wielkiego Lubonia (1023 m) k. Rabki stoi również schronisko P. T. Tatrzańskiego, mające 18 miejsc noclegowych.

W Pieninach u stóp Trzech Koron stoi piękny dom wycieczkowy śląski o 80 łóżkach, w sąsiedztwie Pienin w Szczawnicy istnieje w willi Majerczaka schronisko P. T. Tatrzańskiego.

Wreszcie w Beskidach Sądeckich istnieje tylko jedno schronisko, dotychczas jeszcze niewykończone, a to schronisko P. T. Tatrzańskiego na Jaworzynie (1116 m) k. Krynicy mające 30 miejsc.

S z k o l n e d o m y w y c i e c z k o w e istnieją w tej części Beskidów w Bukowinie na Podhalu, Jabłonce na Orawie u stóp Babiej Góry, Jeleśni, Jordanowie, Jurgowie na Spiszu, Kalwarji Zebrzydowskiej, Krościenku, Krynicy, Lipnicy na Orawie, Makowie, Maniowach nad Dunajcem, Milówce, Mszanie Dolnej, Muszynie, Nowym Sączu, Nowym Targu, Piwnicznej, Porąbce k. Kęt, Rabce, Rytrze, Szczawnicy, Szczyrku, Witowie, Zawoi, Żegiestowie i Żywcu.

Pewnem uzupełnieniem sieci schronisk są coraz liczniejsze w Beskidach Zachodnich i na Podhalu o b o z y w y c h o w a n i a f i z y c z n e g o, w których w razie wolnych miejsc mogą znaleźć pomieszczenie również wycieczki i turyści. W Beskidach Śląskich w okolicy Skoczowa w miejscowości Bucze Harcerskie mieści się harcerska szkoła instruktorska, posiadająca schronisko stałe na 20 osób. W Istebnej na Zaolziu istnieje schronisko Organizacji Przysposobienia Kobiet dla obrony kraju, posiadające pomieszczenie na 60 osób. W Sromowcach Wyżnych nad Dunajcem u stóp Pienin istnieją obozy harcerskie oraz Dworek Cisowy Związku Harcerstwa Polskiego o 50 łóżkach. Największym obozem wychowania fizycznego w Beskidach Zachodnich jest mieszczący się na zboczach Lubogoszczy w sąsiedztwie miasteczka Mszany Dolnej obóz Y. M. C. A. „Beskid".

W *Zakopanem i Tatrach* schronisk jest bardzo wiele. W pełnym sezonie, kiedy w Zakopanem trudno o tanie pomieszczenie, cieszą się dużą popularnością wśród niezamożnych turystów dość liczne w Zakopanem domy wycieczkowe. Należy do nich „Dworzec Tatrzański" Pol. Tow. Tatrzańskiego ul. Krupówki 14, mający 60 miejsc, schronisko turystyczne Związku Nauczycielstwa Polskiego przy ul. Piłsudskiego (willa Molodów) na 60 miejsc, schronisko Pol. Tow. Krajoznawczego im. ks. Stolarczyka przy ul. Chałubińskiego (100 miejsc) i wreszcie szkolny dom wycieczkowy w nowej szkole powszechnej (20 łóżek).

W głębi Tatr największem i najokazalszem schroniskiem jest schronisko P. T. Tatrzańskiego na Hali Gąsienicowej (140 łóżek), mniejsze jest schronisko Warszawskiego Klubu Narciarskiego w dolinie Chochołowskiej (120 łóżek). Schronisko P. T. Tatrzańskiego przy Morskiem Oku ma 62 łóżek, w Dolinie Pięciu Stawów Polskich na poziomie 1672 m. 50 łóżek, w Roztoce 37 łóżek, na Hali Pysznej za Doliną Kościeliską 16 łóżek, wreszcie schronisko Tatrzańskiego Tow. Narciarzy w Krakowie na Kalatówkach 40 łóżek. Schroniska prywatne istnieją na Łysej Polanie, na Hali Gąsienicowej, w Dolinie Kościeliskiej i na Hali Kondratowej.

Chodzenie z przewodnikiem-góralem nawet w Tatrach staje się coraz bardziej rzadkiem, to też ilość przewodników zmniejsza się corocznie. Większość turystów zwiedza Beskidy Zachodnie i Tatry, chodząc znakowanemi szlakami, posługując się drukowanemi przewodnikami i mapami wojskowemi, względnie mapami turystycznemi.

Podaję tedy kilka szczegółów dotyczących *literatury turystycznej i map* Beskidów Zachodnich i Tatr. W Tatrach najpopularniejszym przewodnikiem jest obecnie: Tadeusza i Stefana Zwolińskich *Przewodnik po Tatrach i Zakopanem* (IV wydanie z 1930 r. str. 335 z mapą Tatr i planem Zakopanego). Ciekolwiek przestarzały jest dr. Mieczysława Świerza *Przewodnik po Tatrach i Zakopanem* (III wydanie z 1927 r., str. 230, mapa Tatr, plan Zakopanego, 18 szkiców). Obydwa te przewodniki są dla wymagań t. zw. szerokiej publiczności. Dla taterników pojawiło się w latach 1925 — 26 II wyd. przewodnika Janusza Chmielowskiego i dr. Mieczysława Świerza *Tatry Wysokie*, podzielonego na 4 tomy o blisko 600 str. druku. Jak świadczy tytuł, przewodnik ten nie obejmuje Tatr Zachodnich ani Tatr Bielskich. Dla turystów zimowych wyszedł w 1934 r. przewodnik Tadeusza Zwolińskiego *Zakopane i Tatry Polskie w zimie* (str. 171 i plan Zakopanego).

Dla krain sąsiadujących z Tatrami po stronie czeskosłowackiej w języku polskim istnieje dr. Mieczysława Orłowicza *Ilustrowany Przewodnik po Spiszu, Orawie, Liptowie i Czadeckiem* (Lwów 1920, nakład Książnicy Atlasu, str. 280), częściowo w treści już przestarzały.

Wśród map turystycznych Tatr największą popularnością cieszy się mapa Tadeusza Zwolińskiego *Tatry Polskie* w podziałce 1:37.500 wydanie VII z 1932 r. (cena 4.50 zł.). Uzupełnieniem tej mapy jest Tadeusza Zwolińskiego mapa *Tatry Wysokie i Bielskie* 1:40.000 wydana przed kilku laty, stosunkowo droga (9.20 zł.). W roku bieżącym ma wyjść z druku Tadeusza Zwolińskiego *Mapa Tatr Zachodnich* w podziałce 1:40.000. Po stronie czeskosłowackiej najpopularniejszą jest *Piszowa Mapa Vysokych Tatr* w skali 1:50.000 (8 koron). Wszystkie te mapy podają kolory znakowanych ścieżek tatrzańskich. Przed rokiem wyszły dla terenu Tatr polskie mapy wojskowe w skali 1:100.000. Ponieważ Tatry na tych mapach dzielą się na 4 odcinki, ma być wydana łączna mapa Tatr w skali 1:100.000. Imponująco przedstawia się wydana przez Wojskowy Instytut Geograficzny w 1934 r.: *Fotogrametryczna mapa Parku Narodowego Tatrzańskiego* w skali 1:20.000, podzielona na 2 arkusze. Z powodu stosunkowo wysokiej ceny i zbyt



ZAKOPANE Fot. Jan Jaroszyński



GORGANY Fot. A. Błaż

dużego formatu dla turystów, mapa ta jest mniej praktyczna.

Najpopularniejszym przewodnikiem po Beskidach Zachodnich jest prof. Kazimierza Sosnowskiego *Przewodnik po Beskidach Zachodnich*, wydanie II z 1925 r. (str. 442). Inne przewodniki po Beskidach Zachodnich są raczej uzupełnieniem przewodnika prof. Sosnowskiego. Do przewodników tych należy: dr. Jan Galicz *Przewodnik po Beskidzie Śląskim i Śląsku Cieszyńskim* (Cieszyn 1931 r. str. 256), A. Podzorski *Ilustrowany Przewodnik po Wiśle* (1930 str. 56), M. Augustynowicz i W. Midowicz *Przewodnik narciarski po Beskidzie Zachodnim* (Żywiec 1929 r. str. 94), Wł. Midowicz, St. Merta *Zwardoń i okolica* (Żywiec 1931 r. str. 43), Wł. Midowicz *Babia Góra* (Żywiec 1930 r. str. 46), Roman Nitribitt — Zygmunt Hetper *Krynica, Żegiestów, Muszyna i okolice* (Lwów, 1929 r., str. 210).

Bogatą jest literatura turystyczna Pienin. Najpopularniejszym jest przewodnik prof. Feliksa Rapfa *Park Narodowy w Pieninach* (Nowy Sącz 1933 r., str. 125), do którego dodano mapkę Pienin w podziałce 1:30.000.

Pod względem map Beskidy Zachodnie są w stosunkowo szczęśliwem położeniu, gdyż otrzymały w ostatnich latach niemal dla całej swej przestrzeni (z wyjątkiem Pienin i Beskidu Sądeckiego) nowe sześciobarwne mapy Wojskowego Instytutu Geograficznego, uwzględniające również znakowane szlaki i schroniska turystyczne. Dotychczas z odcinków obejmujących Beskidy Zachodnie wyszły mapy: Cieszyn, Bielsko, Żywiec, Ujsoły, (Racza Hala), Wadowice, Babia Góra, Chyżne, Zakopane, Rabka i Wieliczka. Dla kompletu brak jeszcze map: Bochnia, Nowy Sącz, Szczawnica, Krynica. Dwie ostatnie z tych map, które obejmą Pieniny i południową część Beskidu Sądeckiego, znajdują się w opracowaniu jako mapy sześciokolorowe i mają wyjść jeszcze w bieżącym roku. W cyklu map wojskowych w skali 1:300.000 całe Beskidy Zachodnie wraz z Tatrami obejmuje mapa *Cieszyn*. Jedynie Beskidy Sądeckie pozostały na mapie *Nowy Sącz*.

Mapy Wojskowego Instytutu Geograficznego w skali 1 : 100.000 są tak zadowalające, że od czasu ich wydania przestało być aktualnem wydanie dla tych terenów specjalnych map turystycznych. W użyciu są natomiast mapy turystyczne wydane w ubiegłych latach. Największem powodzeniem cieszy się dr. E. Stonawskiego *Mapa Beskidów*, wydana w 1928 r. przez *Beskidenverein*, w podziałce 1:75.000. Obejmuje ona teren od Cieszyna po Jordanów, a oparta jest na wojskowych mapach austrjackich. W użyciu są też jeszcze wydane w 1927 r. przez Polskie Tow. Tatrzańskie w zakładzie kartograficznym Gea w Warszawie mapy turystyczne w skali 1:100.000 kolorowane z oznaczeniem ścieżek turystycznych. Dla terenu Beskidów Zachodnich wyszło 5 arkuszy, a to Bielsko, Żywiec, Babia Góra, Szczawnica i Krynica.

Na zakończenie kilka wskazówek dotyczących *przekraczania granicy czeskosłowackiej*, która biegnie zarówno przez główny grzbiet Beskidów Zachodnich, jak i Tatr. Wycieczki szkolne na podstawie zbiorowej listy uczestników, zatwierdzonej przez dyrekcję szkoły i przez starostwo, mogą przekraczać granicę od Cieszyna po Krynicę, o ile kierownik wycieczki jest członkiem P. T. Tatrzańskiego lub P. Z. Narciarskiego i posiada t. zw. legitymację konwencyjną. Na podstawie konwencji turystycznej polsko-czeskosłowackiej z 1925 r. członkowie P. T. Tatrzańskiego przez cały rok, a członkowie P. Z. Narciarskiego w miesiącach zimowych mogą urządzać wycieczki na stronę czeskosłowacką i poruszać się swobodnie w granicach t. zw. pasa turystycznego, na podstawie legitymacji członkowskiej danego towarzystwa, zaopatrzonej w fotografję posiadacza, wizowanej w starostwie stałego miejsca zamieszkania i w terytorjalnie kompetentnym konsulacie czeskosłowackim. Inne osoby mogą przekraczać granicę na podstawie przepustek turystycznych, zwanych „legitymacjami tatrzańskiemi“, wystawianych najczęściej na okres 6 dni przez starostwo w Nowym Targu, zarządy uzdrowisk w Szczawnicy i w Zakopanem, oraz Komisarjat Straży Granicznej w Krościenku.

MIECZYSŁAW ORŁOWICZ

BESKIDY WSCHODNIE

Najpiękniejszą niewątpliwie krainą górską w Polsce — poza Tatrami i Pieninami — jest część Karpat, położona na południowo-wschodnim krańcu państwa polskiego, zwana Beskidami Wschodniemi lub Lesistemi. Beskidy Lesiste zachowały bowiem po dziś dzień wszystkie niemal cechy pierwotnej, dzikiej przyrody, niezniszczonej cywilizacją i kulturą, olbrzymie, dziewicze lasy, w niektórych okolicach nietknięte jeszcze nigdy nietylko siekierą, ale nawet stopą ludzką, rozległe, zielone, bujne łąki i pastwiska (t. zw. „połoniny“), porosłe niezwykłą różnorodnością traw, roślin i ziół, oraz ubarwione kobiercami wzorzystego kwiecia; wreszcie zachowały po dziś dzień na swych stokach i zboczach szmaragdowe płaszcze gęstych, nieprzebytych gajów kosodrzewiny, przewyższającej wysokością wzrost najwyższego człowieka. Wielka rozległość obszarów, objętych pasmami Beskidów Wschodnich, i ich bezludność stwarza z nich pierwszorzędne tereny dla turystów, pragnących uciec od zgiełku wielkich miast i cywilizacji nowoczesnej i znaleźć się w zupełnej samotności, twarzą w twarz z prawdziwą, niezakłóconą obecnością człowieka, przyrodą górską. Beskidy Wschodnie stanowią wreszcie jeden z najciekawszych w Polsce zakątków kraju pod względem etnograficznym: zamieszkują je Huculi, rosły, przystojny, dzielny lud góralski, o charakterystycznych cechach antropologicznych, odznaczający się malowniczemi, barwnemi strojami i wielkiem umiłowaniem piękna, oraz zdolnościami artystycznemi, wyrażającemi się w wielu dziedzinach sztuki góralskiej miejscowej, jak budownictwo, tkactwo, snycerstwo, ceramika, wyroby stolarskie, muzyka i t. p. Obyczaje, zabawy i uroczystości Huculów stanowią również dziedzinę całkiem odrębną, której poznanie stanowi dla turystów, zwłaszcza zagranicznych, pierwszorzędną atrakcję i źródło niezapomnianych nigdy, bardzo ciekawych wrażeń i spostrzeżeń.

Beskidy Wschodnie leżą na pograniczu Polski z Czechosłowacją i Rumunją. Jest to część Karpat, od rzeki Sanu na zachodzie, do źródeł Czeremoszów, stanowiących granicę Polski z Bukowiną, na wschodzie. Ze względu na cechy geograficzne, strukturę łańcuchów górskich, oraz charakter świata roślinnego i związanego z tem krajobrazu — dzielimy krainę Beskidów Wschodnich na trzy części. Są to, licząc od zachodu ku wschodowi, pasma następujące: Bieszczady, Gorgany i Czarnohora.

B i e s z c z a d y sięgają od Sanu na zachodzie do dolin rzek Świcy i Mizuńki na wschodzie. Główne pasmo składa się z szeregu równoległych pasm górskich, biegnących z północnego zachodu na południowy wschód. Pasma podzielone są głębokiemi podłużnemi i poprzecznemi dolinami. Bieszczady, dzięki wyrąbaniu dużej ilości lasów, oraz gęstej sieci dolin, stanowią najbardziej zaludnioną część Beskidów Wschodnich. Wsie zachodzą wszędzie w głąb gór.

Najwyższym szczytem polskich Bieszczad jest Pikul (1405 m.) leżący na pograniczu Czechosłowacji. Punkt wyjścia na Pikul — stacja Sianki, na granicy polsko-czeskosłowackiej. Zełemin (1167 m) odznacza się pięknością i rozległością widoku, dostęp do niego możliwy jest bądź z Hrebenowa, bądź ze Skolego. Halicz (1335 m) odznacza się widokiem bardzo rozległym, dostęp zaś nań bądź ze stacji Sianki, bądź Sokoliki. Paraszka (1271 m) wznosi się na zachód od Skolego. Ze szczytu piękny widok na okolicę — dostęp z Synowódzka, ze Skolego, bądź wreszcie z Hrebenowa.

Pasma Bieszczad posiadają szereg wielkich i wspaniałych skał, występujących bądź na głównych łańcuchach górskich, bądź na północnem ich podgórzu. Najładniejsze grupy skał znajdują się właśnie na północnych stokach Bieszczad, odznaczają się one oryginalnością i fantastycznością — są to skały w Busowiskach, Uryczu, Rozhurczu i Bubniszczach.

Bieszczady stanowią tereny daleko cenniejsze dla turystyki zimowej, niżeli dla letniej. Są to wogóle najlepsze w Karpatach polskich obszary narciarskie. Łagodnie nachylone stoki, brak większych lasów, długa i trwała zima, głębokie śniegi, wszystko to przyczynia się do olbrzymiej frekwencji narciarskiej w sezonie zimowym. Najpopularniejszym i najlepszym terenem górskiej turystyki narciarskiej jest szczyt Trościan (1235 m), położony na wschód od Sławska, najwyższej stacji turystycznej zimowej w Beskidach Wschodnich.

Turystykę w Bieszczadach ułatwia szereg iezdnych dróg używanych przy zwózce drzewa, oraz ścieżek myśliwskich i pasterskich. Niektóre z tych ścieżek są znaczone farbami przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. W Bieszczadach znajdują się schroniska turystyczno-narciarskie, pozatem turystykę ułatwiają domki myśliwskie dość gęsto rozsiane na tych terenach, stanowiących pierwszorzędne tereny łowieckie.

Dojazd do pasma Bieszczad możliwy jest koleją przez Przemyśl lub Lwów. Samochodowe drogi prowadzą szlakiem Stryj — Kałusz — Stanisławów, stąd jedna odnoga wiedzie przez Sambor i Turkę do Sianek, druga od Stryja do Skolego w dolinę Oporu. Ruch turystyczny w Bieszczadach ułatwiają linje autobusowe, dochodzące do poszczególnych stacyj turystycznych.

G o r g a n y rozciągają się na wschód od Bieszczad, a granicą ich wschodnią jest dolina rzeki Prutu. Jest to najdziksza, najpiękniejsza, najbardziej majestatyczna część Beskidów Wschodnich, gdzie czar pierwotnej przyrody zachował się najlepiej, gdzie rosną dziewicze puszcze leśne, gdzie szczyty śmiało zarysowane, o ostrych zboczach, pokryte są rumowiskiem olbrzymich kamieni, bądź porosłe nieprzebytemi gąszczami najpiękniejszej w Karpatach kosodrzewiny. Doliny dzikie, niezamieszkane, dodają krajobrazowi górskiemu Gorganów jeszcze więcej groźnego majestatu i potęgują silne wrażenie. W Gorganach zachowały się limby i to nietylko jako pojedyńcze drzewa, ale w postaci całych kompleksów leśnych.

Gorgany są najbardziej bezludną grupą górską Karpat. Wpływają na to nietylko ostre kształty grzbietów górskich i dolin, lecz i brak zupełny łąk i pastwisk, wskutek czego życie pasterskie w Gorganach niemal zupełnie nie istnieje. Brak szałasów wynagradza szereg schronisk turystycznych, zbudowanych przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, jak np. w Osmołodzie („na Jali“) w dolinie Łomnicy, przy klauzie Świcy, na Chomiaku, oraz pomniejsze: w Borewce pod Sywulą, na Doboszance, w Ludwikówce, w Wyszkowie, Zielenicy i Zielonej.

Również liczne domki myśliwskie ułatwiają w razie potrzeby znalezienie noclegu.

Mieszkańcy dolin, przylegających do Gorganów, Huculi, zajmują się wyrębem lasów i pracują w okolicznych tartakach.

Pasma górskie Gorganów stanowią pierwszorzędny teren dla turystów, żądnych wrażeń mocnych i lubujących się w okolicach dzikich i osamotnionych. Często przedzierać się trzeba przez puszczę leśną, pełną wykrotów, zgniłych i powalonych drzew na stromem zboczu, to znów przez nieprzebytą niemal kosodrzewinę, lub piąć się po ruchomych, olbrzymiej wielkości głazach. Doliny niekiedy są tak głębokie i wązkie, że utrzymanie ścieżek w nich ze względu na ustawiczne powodzie, nanoszące barykady pni i kamieni, jest niemożliwe.

Najważniejsze i najciekawsze szczyty w Gorganach, licząc od zachodu, są następujące: Arszyca (1589 m), z rozległym widokiem na całe pasmo Gorganów, Grofa (1589 m) z limbami i piękną halą Płyśce, Parenki (1737 m) z lasem limbowym na stokach i olbrzymim płaszczem kosodrzewiny na zboczu, Popadja (1743 m), położona w centrum najdzikszej części Gorganów i odznaczająca się najpiękniejszym i najrozleglejszym widokiem w Karpatach polskich, Sywula (1835 m), najwyższy szczyt Gorganów, złożony z dwóch czubków, z których jeden posiada śliczny, piramidowy kształt, Doboszanka (1757 m), dziki trzyszczytowy masyw, pełen romantycznego uroku, Jawornik (1467 m), ponury szczyt z ogromnemi głazami na grzbiecie, i wreszcie Chomiak (1544 m), niewysokie, ale bardzo foremnie zbudowane wzniesienie, z którego roztacza się jeden z piękniejszych w Karpatach widoków na całą okolicę.

Pomimo braku rozwiniętego na szerszą skalę pasterstwa, Gorgany posiadają kilka pierwszorzędnych ścieżek turystycznych, pozatem turystykę ułatwiają doskonałe ścieżki myśliwskie, oraz bardzo gęsta sieć kolejek leśnych i tartacznych, zbudowanych w związku z eksploatacją lasów. Przeważna ilość ścieżek jest oznaczona farbami przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i zaopatrzona w drogowskazy i tablice orjentacyjne.

Dojazd do pasma Gorganów możliwy jest kolejami Lwów — Stryj — Dolina — Stanisławów, Stanisławów — Kołomyja — Śniatyń i Lwów — Halicz — Stanisławów — Woronienka od północy, skąd odchodzi szereg lokalnych kolejek leśnych. Pozatem szosy samochodowe Stryj — Kałusz — Stanisławów, Stanisławów — Nadwórna — Jabłonica, Worochta — Żabie — Kosów — Kołomyja i Delatyn — Kołomyja — Śniatyń, ułatwiają dostęp do tych gór turystom automobilowym. Na niektórych odcinkach tych szos kursują stale autobusy.

Z miejscowości, położonych u stóp pasm Gorganów, największą frekwencją, jako letniska i stacje turystyczne, cieszą się miasteczka i wsie leżące w dolinie Prutu, stanowiącego wschodnią granicę Gorganów, wzdłuż linji kolejowej Stanisławów — Nadwórna — Woronienka. Linja ta pod względem krajobrazowym i technicznym należy do najpiękniejszych linij kolejowych w Polsce.

Nadwórna, miasto powiatowe z ruinami zamku i pobliskiemi wodospadami, stanowi stację turystyczną dla Gorganów centralnych. Skit Maniawski, położony o 27 kilometrów od Nadwórnej — stary klasztor w ruinie, z odpustami dorocznemi, jest wielką atrakcją dla turystów, interesujących się etnografją, ze względu na stroje malownicze pątników. Delatyn ze źródłami solankowemi jest pierwszem, licząc od północy, na linji kolejowej ze Stanisławowa letniskiem w dolinie Prutu. Jaremcze, największe letnisko nad Prutem, pięknie położone, posiada zakład wodoleczniczy; w pobliżu olbrzymi wiadukt kolejowy o olbrzymiej rozpiętości łuku, arcydzieło konstrukcji kolejowej, oraz malowniczy wodospad Prutu. Tatarów, w pięknej okolicy położone letnisko, oraz Worochta, drugie letnisko co do frekwencji po Jaremczu, stanowią ważne punkty wyjścia dla wycieczek w Gorgany i Czarnohorę.

Z innych miejscowości, godne zwiedzenia są: Podlute, w dolinie Łomnicy, z siarczanemi źródłami i ładnym pałacykiem arcybiskupim; Osmołoda, pięknie położona miejscowość tartaczna, i Rafajłowa w dolinie Bystrzycy, duża wieś huculska, położona u stóp głównego pasma Gorganów, wsławiona walkami Legjonów Polskich.

Trzecią, najbardziej wschodnią część Beskidów Wschodnich, stanowią pasma C z a r n o h o r y, najwyższe, poza Tatrami, w Karpatach polskich. Charakterystyczną cechą łańcuchów Czarnohory jest ich budowa: są to długie, płaskie i łagodnie nachylone wały górskie, o płytkich przęsłach, pokryte olbrzymiemi przestrzeniami traw, czyli t. zw. „połonin“, stanowiących idealne tereny pasterskie. To też Czarnohora — to królestwo pasterstwa, pełno na jej łąkach stad owiec, krów i wołów, a osady pasterskie, bądź pojedyńcze szałasy, są na niej licznie rozsiane. W przeciwieństwie do Gorganów — Czarnohora jest bardzo zaludniona: na górnych jej strefach kwitnie pasterstwo, na dolnych — liczne przysiółki wsi niżej i głębiej położonych w dolinach. Domy huculskie rozrzucone są na dziesiątkach kilometrów kwadratowych po zielonych zboczach górskich. Obok gospodarstwa mleczarsko-serowarskiego, kwitnie na dolnych regjonach zbiórka siana i gdzieniegdzie ubogie rolnictwo. Czarnohora — to najciekawszy teren badań etnograficznych — to serce Huculszczyzny; to też nigdzie tak dobrze jak właśnie na Czarnohorze i na przyległych do tego pasma łańcuchach pobocznych, t. zw. Beskidach Huculskich, nie można poznać życia Hucułów i ich obyczajów, strojów, mieszkań i sztuki zdobniczej.

Najważniejszym szczytem Czarnohory i zarazem najwyższym jest Howerla (2058 m), pozatem godne widzenia są: Turkuł (1937 m), Szpyci (1864 m) i Pop Iwan (2026 m). Czarnohora posiada doskonałe tereny dla turystyki narciarskiej.

Turystykę w Czarnohorze ułatwia gęsta sieć dróg kołowych, ścieżek pasterskich i turystycznych, z których wszystkie ważniejsze są znaczone farbami przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Własność tego Towarzystwa stanowią również większe schroniska turystyczne, jak np. najważniejsze z nich — na Zaroślaku — u stóp Howerli, w Worochcie (Dworek Czarnohorski), na przełęczy Tatarskiej i szereg mniejszych.

Częste są leśniczówki i gajownie. Wreszcie nocować można w domkach strażników „klauz", czyli śluz, zbudowanych na jeziorkach i potokach, celem spiętrzenia wody do spławu tratew, które to spławy, związane z rozwiniętym na wielką skalę w Czarnohorze wyrębem lasów, stanowią pierwszorzędną atrakcję dla turystów i jednocześnie romantyczny środek lokomocji na spienionych falach potoków górskich.

Dojazd do Czarnohory — kolejami i szosami samochodowemi temi samemi co do Gorganów. Wewnątrz Czarnohory godna polecenia przejażdżka tratwami po Czeremoszu, przy spławie drzewa z lasów do tartaków i stacyj kolejowych, dostarczająca bardzo silnych wrażeń, a nieraz i dość niebezpiecznych przygód, w razie rozbicia się tratwy o brzeg skalisty lub rafy podwodne.

Z letnisk, położonych w paśmie Czarnohory, bądź na terenie przylegających do niej Beskidów Huculskich, wymienić należy: Kosmacz z barwnemi strojami ludności, Kosów, gdzie w dni targowe można podziwiać malownicze barwy huculskie, z zakładem wodoleczniczym w Smodnej, Kuty z ciepłym klimatem, słynące z dobrych owoców, i Żabie — stolica Huculszczyzny, najlepszy punkt dla badań etnograficznych.

Map specjalnych turystycznych dla tych okolic prawie że niema. Dla Gorganów zachodnich i centralnych istnieje dobra mapa prof. Lenkiewicza w skali 1 : 100.000, dla Gorganów Wschodnich i Czarnohory mapy „Gea" w skali 1 : 100.000. Pozatem turyści mogą korzystać z map wojskowych 1 : 100.000 i 1 : 75.000 dla wszystkich terenów Beskidów Wschodnich.

Z przewodników — najlepszy i najobszerniejszy: dwutomowy, obejmujący wszystkie trzy części Beskidów Wschodnich, przewodnik H. Gąsiorowskiego.

STANISŁAW LENARTOWICZ



PUSZCZA BIAŁOWIESKA Fot. Henryk Poddębski

W PUSZCZY I W LESIE

Im dalej w głąb wieków sięgniemy, tem szerzej rozpościerały się puszcze i lasy na ziemiach naszych. Z wyniosłych Tatr poprzez łańcuchy Karpat spełzały ku nizinom i morzu. Tam, gdzie dziś ciągną się pola złocistych zbóż, panowały na lepszych glebach lasy mieszane, a pośród nich król puszczy—dąb, który tolerował łaskawie obecność grabu, lipy, klonów, jesionów i wiązów, podszytych bujnie podrostem leśnym i różnorodnemi krzewami, ulubionem siedliskiem ptactwa i zwierza.

Tam, gdzie dziś łąki soczystą zielenią rozjaśniają monotonję pól, ciągnęły się niedostępne bagna i olszyny, zamieszkałe przez bobry, łosie i dziki.

Na glebach mniej urodzajnych panował bór sosnowy, przebłyskujący czerwienią kory i subtelną grą świateł. Tereny morenowe i górskie pokryte były puszczą jodłową i świerkową, w której pojedyńcze drzewa strzelały wspaniałemi kolumnami wgórę lub żałobnie chyliły swe gałęzie ku ziemi.

Puszcza długo była schronieniem, terenem łowów i żywicielem człowieka. W miarę zwiększania się ludności zwolna ustępuje przed człowiekiem. Im wyższa kultura, im więcej stałych osadników, tem szybciej las i puszcza cofają się ku górom, ku nieurodzajnym, piaszczystym lub bagnistym terenom. Pierwsze padły ofiarą lasy mieszane. Samotny, stary dąb z kapliczką, pieczołowicie chroniony przed zagładą — to świadek rozległych puszcz w przeszłości.

Stosunkowo najpospolitsze są dziś bory sosnowe, kryjące najczęściej sypkie piaski w podłożu. Panują one na Mazowszu, Podlasiu, częściowo na Polesiu i Wołyniu, podtrzymywane przez człowieka dla drogocennego budulca. Pozornie monotonny las sosnowy przy bliższem wejrzeniu w jego głąb zmienia swój charakter bądź przez domieszkę liściastych drzew, bądź przez podszycie, to wreszcie przez runo, czasem jagodowe, czasem podesłane puszystym kobiercem mchów lub szorstkich porostów.

Las liściasty czy iglasty zawsze jest źródłem ochłody, wytchnienia i odprężenia nerwów. Pociąga wszystkich przyjemnym, orzeźwiającym chłodem, czystem, wonnem powietrze, cudowną grą barw zieleni, prześwietlonej złotem promieni słonecznych.

Las to wielkie zbiorowisko drzew o systemie korzeniowym, siecią swą i zasiągiem przekraczającym rozwój gałęzi. Każdy system daje jeden lub kilka głównych korzeni, które zkolei dzielą się na masę, początkowo grubszych, potem coraz drobniejszych korzeni dalszych rzędów, aż wreszcie dochodzą do gęstej sieci delikatnych, włóknistych korzonków. Te ostatnie pełnią rolę ssawek, ciągnących wodę z gleby wzwyż ku pniom, gałęziom i liściom, które wodę wyparowują. Ilość wyparowanej w ciągu lata wody, obliczona dla jednego ha lasu bukowego, wynosi 3.000.000 kg. Proces zamiany wody w parę pochłania znaczne ilości ciepła, co wywołuje znaczne obniżenie temperatury. Tem się tłumaczy przyjemny, orzeźwiający chłód lasu. Większe obszary leśne odgrywają w ten sposób rolę czynnika klimatycznego, obniżając bowiem temperaturę powietrza, powodują skraplanie się pary wodnej w postaci mgły lub deszczu, podobnie jak to czynią góry lub strumienie.

Na tem wszakże nie kończy się rola lasu w dziedzinie klimatycznej. Strumienie deszczu, choćby najgwałtowniejszego, rozbijają się o tysiące liści i gałązek i spadają na dno lasu stopniowo, łagodnie; nie spływając gwałtownie, nie zmywają urodzajnej gleby, lecz nasycają zwolna kobierce mchów i masy nagromadzonej ściółki. Nadmiar wód, nie pochłonięty przez systemy korzeniowe drzew, przesiąka wgłab do wód gruntowych, zasilając źródła i strumienie. Las odgrywa w ten sposób rolę gospodarza wód opadowych. Niedocenianie tej roli lasu powoduje klęski, nieraz katastrofalne, szczególnie w terenach górzystych. Nim ludzkość oceniła znaczenie lasu, wyniszczono go o wiele więcej, niż należało. Zalesienie terenów górskich, z których deszcze zdążyły zmyć cienką warstwę urodzajnej gleby, jest często niemożliwe a zawsze kosztowne. Lasy pozostałe do naszych czasów bronione być muszą w interesie dobra społecznego przez ustawodawstwo państwowe.

Las i roślinność wogóle mają ogromne znaczenie dla życia ludzi i zwierząt. W wielkiem laboratorjum, jakiem są liście drzew i roślin, odbywają się głębokie przemiany, polegające na przekształcaniu nieorganicznych soli, rozpuszczonych w wodzie i doprowadzonych przez korzenie, oraz dwutlenku węgla z powietrza na substancje organiczne. Rola oczyszczania powietrza z nadmiaru dwutlenku węgla jest najważniejszą działalnością roślin. Stąd pochodzi ścisły kontakt lasu i roślinności wogóle ze światem ludzkim i zwierzęcym; zakładanie w większych osiedlach miejskich parków, skwerów, obsadzanie ulic. Strona dekoracyjna, choć ważna, usuwa się na plan drugi wobec zdrowia ludzkiego. Ta ważna okoliczność jest także wytłumaczeniem świadomego lub nieświadomego pędu człowieka do natury. W tej też wielkiej tajemnicy przyrody znajduje wytłumaczenie turystyka, która przecież dąży do nawiązania utraconego z naturą kontaktu. Człowiek, którego wychowanie oparte będzie na poznaniu piękna przyrody, będzie jednostką bardziej realną, zahartowaną, zaprawioną do walki życiowej.

W najbliższem sąsiedztwie Warszawy w dolinie Wisły na południe od Młocin, Modlina i Wyszogrodu leżą resztki słynnej ongiś puszczy Kampinoskiej. Panuje w niej sosna, pokrywająca wspaniałe łuki wydm, poprzedzielane kotlinami międzywydmowemi. Idąc poprzez te wydmy, szczególniej w kierunku zachodnim, mamy wrażenie gór, gdyż co pewien czas ze szczytu wydmy schodzimy do kotliny, aby po chwili znów piąć się na następny grzbiet. Przecinając w ten sposób puszczę, widzimy duże zmiany w strukturze lasów sosnowych. Nie są one pozbawione uroku i mogą pociągnąć myślącego i wrażliwego na piękno turystę. Jeżeli do tego dodamy inny obraz, jaki dają rozległe bagna, które gdzieniegdzie tylko posiadają jeszcze swoją dawną szatę leśną w postaci olszy, tonącej nieraz na wiosnę w wodzie, z masą kaczeńców, kosaćców i kwitnącej czeremchy, to obraz będzie jeszcze pełniejszy. Jeżeli nam się zdarzy w majowy poranek posuwać granicą wydm i bagien, to każdego musi uderzyć kontrast, jaki stanowią te dwa odmienne a równie piękne krajobrazy.

Jeżeli puszcza Kampinoska zachowała jeszcze nieco swej powierzchni leśnej, to inne, związane z nią w przeszłości w jeden wielki kompleks, dziś stanowią znikome resztki. Dotyczy to puszczy Bolimowskiej, Jaktorowskiej, Korabiewskiej na południu, a Białej i Kurpiowskiej na północy. Z tych ostatnich zostały już tylko strzępy, które niczem nie przypominają dawnej świetności puszczańskiej.

Całkiem inny obraz uderzy nas w puszczy Białowieskiej. Prawda, i ona świeci często ranami, ale posiada jeszcze dzikie, puszczańskie ostępy, niebotyczne świerki, lipy, graby, dęby, klony i inne drzewa, które, idąc w zawody o światło, osiągają w tym wyścigu kolosalny wzrost i wymiary. Kto nie widział prawdziwej puszczy, niechaj spieszy do Parku Narodowego w Białowieży, a przeniesie się w krainę baśni. Tu ujrzy pulsujące tętno życia i tego życia kres w postaci wielkich, wspaniałych wykrotów, fantastycznie niekiedy zawieszonych na drzewach żyjących. Nikt ich nie usuwa, natura sama jest tu włodarzem: na murszu obumarłych drzew krzewi się bujnie nowe życie.

A oto puszcza Świętokrzyska; związana jest z nią młodość i imię wielkiego pisarza, Stefana Żeromskiego, który sobie tę puszczę nad wszystkie upodobał. Stary górotwór Świętokrzyski, okryty wspaniałemi lasami jodłowemi lub jodłowo-bukowemi, sprawia przedziwne wrażenie. Szumią stare jodły i buki, zrośnięte ze skalistem podłożem, pochylają się nad rozrzuconemi wzdłuż północnego stoku górskiego zwaliskami głazów kwarcytowych, zwanych „gołoborzami". W najlepiej zachowanej części puszczy jodłowej został utworzony rezerwat, ochrzczony imieniem Żeromskiego.

Poza temi większemi kompleksami leśnemi znajdziemy i inne w Polsce. Nie można zapominać o pięknych lasach liściastych na Wołyniu, Polesiu, w Augustowskiem. Polesie gotuje najwięcej może niespodzianek, pełnych egzotycznego uroku. Rozległe, leniwie płynące wody, a na nich grząskie lasy, pełne wspaniałej roślinności, toć to prawdziwy raj dla turysty, który łodzią lub kajakiem może docierać swobodnie tam, gdzie człowiek pieszy dotrzeć nie może.

J. i R. KOBENDZA



ŻABIE Fot. Jan Jaroszyński

WŚRÓD PÓL I ŁĄK

Początek lata zmusza każdego do zastanowienia się, gdzie i w jaki sposób spędzić urlop. Mamy przed sobą kilka tygodni, które możemy wypełnić własną, niczem nie krępowaną treścią, zależnie od swych zamiłowań i przyzwyczajeń. Jedni więc jadą do pensjonatów, aby w okresie wypoczynkowym mieć maximum wygód i rozrywek towarzyskich. Podziwiają piękno gór lub morza z wysokich tarasów will, posługują się samochodami, jako najszybszym środkiem lokomocji, zwiedzają jedynie miejscowości rozreklamowane, jako warte zobaczenia.

Inni, a liczba ich wzrasta z roku na rok, pragną jedynie ciszy, zupełnej zmiany otoczenia i warunków życia. Jeśli są miłośnikami gór, idą na dalekie wycieczki, aby samotnie lub w grupach wspinać się na szczyty i „czołem sięgać chmur".

Inni wreszcie spędzają wakacje na kajaku, biwakując w namiotach nad jeziorami i rzekami, wsłuchani w szum wód i lasów.

Góry i morze to niewątpliwie największe atrakcje dla turysty. Ale między temi górami i morzem leżą olbrzymie obszary Polski, zawierające zakątki, ukryte wśród pól i łąk, których piękno przemówi do każdego turysty. Wzrok, zmęczony szarzyzną murów miejskich, z rozkoszą chłonie barwy, w które tak bogata jest wieś polska. Zarzućmy więc plecak na ramiona, włóżmy mocne buty i idźmy na wędrówkę. Jest to najlepszy sposób poznania kraju, ludności, zbliżenia się do natury, odnalezienia samego siebie.

Idąc od wsi do wsi, od miasta do miasta, bezpośrednio stykamy się z pięknem polskiej przyrody, z życiem mieszkańców, z regjonalnemi zwyczajami i ze sztuką ludową.

Wśród pól i łąk spotykamy krzyże i kapliczki przydrożne. Rozbraja nas naiwność wykonania niektórych „świątków", lecz wzrusza głęboka wiara, która natchnęła ich twórcę.

Obcowanie z ludnością, poznanie jej codziennych trosk oraz świątecznych uciech, obrzędów i uroczystości, daje obraz całkowity duszy polskiej, co wraz z poznaniem ziemi polskiej daje znajomość, a co z tem idzie, żywe ukochanie Polski. Wtedy jasne stają się słowa Pola: „piękna nasza Polska cała, piękna, żyzna i niemała, wiele krain, wiele ludów, wiele stolic, wiele cudów".

*

Zaledwie miniemy granice t. zw. „Wielkiej Warszawy", znajdziemy się wśród pól i łąk. Okolice stolicy, mało pod względem krajobrazowym urozmaicone, mają kilka rezydencyj z cennemi zabytkami artystycznemi. Na południe od Warszawy leży *Wilanów* z przepięknym pałacem barokowym z XVII w., rezydencja letnia króla Jana Sobieskiego; *Natolin* z pięknym pałacykiem i parkiem, *Ursynów*; ruiny zamku książąt Mazowieckich w *Czersku* (koło Góry Kalwarji); *Stary Otwock* z murami barokowego zamku Bielińskich; *Raszyn* i *Falenty*, pamiętne bitwą ks. Józefa Poniatowskiego.

Na północ od stolicy leżą *Bielany* z dawnym klasztorem Kamedułów; *Jabłonna* z pałacem ks. Józefa Poniatowskiego.

Nad Bzurą zwiedzimy kościół w *Brochowie*, gdzie był chrzczony Fr. Chopin. Kościół ten ma charakter obronny.

Dla zobaczenia pięknych strojów ludowych warto wybrać się w okolice Łowicza do *Zdun* lub *Złakowa Kościelnego*. Najbogaciej i najbarwniej ubrani są łowiczanie w dniu procesji Bożego Ciała. Kobiety noszą barwne, pasiaste wełniaki włożone na kilka krochmalonych spódnic, haftowane koszule i chustki na głowie, mężczyźni mają spodnie podobnie pasiaste, kamizele i kapelusze filcowe z kolorowemi świecidełkami. Wśród pasów dominuje kolor pomarańczowy. Kobiety na tle łąki lub zboża wyglądają jak nagietki, kwiaty tak chętnie hodowane w wiejskich ogródkach. W pobliżu Łowicza warto zwiedzić *Arkadję* i *Nieborów*.

Na północ od Warszawy *Serock*, miejsce, gdzie łączy się Bug z Narwią, oraz *Popowo* nad Bugiem, znane letnisko o charakterze campingu.

Malowniczo nad Wisłą położony jest *Płock*, z dominującą na wysokim brzegu katedrą.

Niezmiernie ciekawy jest *Ciechocinek*, jedno z najlepiej urządzonych zdrojowisk w Polsce. Posiada on t. zw. „tężnie", gdzie wyparowuje i osadza się sól, obficie występująca w źródłach, oraz słynny basen kąpielowy.

Poznańskie, aczkolwiek pozornie jednostajne pod względem krajobrazowym, posiada jednak zakątki, pełne swoistego uroku i piękna. Z Poznania wybierzmy się do *Puszczykowa, Ludwikowa*. Zwiedźmy *Rogalin* z pałacem Raczyńskich, *Kórnik* i *Gołuchów* — zamek ks. Czartoryskich, mieszczący światowej sławy zbiory sztuki.

Z miejscowości malowniczo nad Niemnem położonych zobaczmy *Druskieniki*, uczęszczane zdrojowisko. Cudowne opisy przyrody nadniemeńskiej, które znajdujemy w powieści Elizy Orzeszkowej *Nad Niemnem*, niewątpliwie zachęcają prawdziwych miłośników piękna do odwiedzania tych okolic.

Wileńszczyzna ma charakter wybitnie rolniczy. Z rolniczym charakterem kultury wiejskiej wiąże się rozpowszechniony kult zmarłych, wyrażający się m. in. w białorusko-litewskim obrzędzie „dziadów". Ogromnie ciekawe są tam kapliczki przydrożne, umieszczone na słupach. Charakterystyczne są chaty i „świrony" czyli spichrze z gankami.

Ciekawsze wycieczki z Wilna: do *Trok*, nad jezioro i do ruin Zamku Witoldowego, wycieczka *szlakiem Batorego*, gdzie zobaczymy piękne jeziora *Świr* i *Narocz* — największe jezioro w Polsce (około 83 klm. kw.).

Nowogródczyzna, a szczególnie *szlak Mickiewiczowski*, przeniesie nas w piękne i bogate okolice, które uwiecznił poeta w swych utworach. Zwiedźmy *Nowogródek*, *Czombrów* — stary i piękny dwór, *Świteź*, *Worończę*, *Tuhanowicze*, *Horodyszcze*. *Zaosie*. Idźmy

Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

*

Na wyżynie wieluńsko-krakowskiej na uwagę zasługują: *Częstochowa* — słynne miejsce odpustowe z Jasną Górą i cudownym obrazem Matki Boskiej. Wśród pielgrzymujących do świętego miejsca możemy zobaczyć stroje ludowe z całej Polski. W okolicy malowniczo położone na wapiennych skałach ruiny zamków w *Olsztynie*.

W odległości 10 klm. od Zawiercia znajdują się największe i najpiękniej położone ruiny zamku w *Ogrodzieńcu*. Niedaleko od Skalbmierza leży pole *Racławickie*, słynne zwycięstwem Kościuszki nad Moskalami; *Krzywopłoty*, pamiętne bitwą I brygady Legjonów Piłsudskiego z Moskalami, z obeliskiem na cześć poległych. Na południe od Olkusza, w odległości 24 klm., leży *Ojców* w prześlicznej dolinie Prądnika, otoczonej wapiennemi skałami, perła jury krakowskiej, z ruinami zamku XIV w., z malowniczemi grotami i dolinami.

Niedaleko Ojcowa leży *Pieskowa Skała* z jedynym niemal w Polsce w całości zachowanym zamkiem średniowiecznym, który odznacza się wyjątkową malowniczością położenia. U stóp zamku wspaniała, 18 m wysoka, samotna skała, zwana Maczugą Herkulesa.

Na wyżynie kielecko-sandomierskiej mamy dwa znane zakłady kąpielowe w *Busku* i *Solcu*, zakład hydropatyczny wśród pięknych lasów w *Czarnieckiej Górze*.

Sandomierz pięknie na wzgórzu nad Wisłą położony z gotycką katedrą z XIV w.

Wyżyna lubelska to okolica malownicza, pokryta wzgórzami, dolinami, bujną roślinnością, żyzna i bogata, z miejscowościami posiadającemi zabytki sztuki. A więc *Puławy* z Instytutem Agronomicznym, we wspaniałym pałacu ongiś Czartoryskich, z pięknym parkiem, świątynią Sybilli i zamkiem gotyckim. *Kazimierz* nad Wisłą, posiadający wielkie sady śliwkowe, zabytkowe kamienice i spichrze renesansowe. Na przeciwnym brzegu Wisły wspaniałe ruiny zamku w *Janowcu*. Kąpielisko *Nałęczów* ze słynnym zakładem leczniczym. *Lublin* ładnie położony nad Bystrzycą.

Kraków — skarbnica pamiątek historycznych, drogich sercu każdego Polaka, posiada ładne okolice i piękne stroje ludowe. W pobliżu miasta: *Zwierzyniec*, gdzie jest kopiec Kościuszki, *Sowiniec*, na którym zbiorowym wysiłkiem całej ludności polskiej, rośnie kopiec Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, *Bielany* z kościołem Kamedułów, *Tyniec* z ruinami opactwa Benedyktynów, *Wieliczka* ze słynnemi salinami, *Kalwarja Zebrzydowska* — pięknie położone miejsce odpustowe.

W dzielnicy Piastów, na Śląsku: *Piekary* — miejsce odpustowe Śląska, słynne z pięknych strojów ludowych, *Pszczyna* z ładnym parkiem, *Jastrzębie-Zdrój* — wielkie kąpielisko.

Małopolska Wschodnia jest bardzo malownicza pod względem krajobrazowym; *Łańcut* z pałacem Potockich, *Olesko* z zamkiem Sobieskiego.

Podole, piękna, żyzna wyżyna z malowniczemi jarami i licznemi zamkami i pałacami, stanowi jedną z najciekawszych krain pod względem turystycznym.

Najpiękniejsze jary: *Dniestru* między Niżniowem i Zaleszczykami; *Złotej Lipy* w okolicach Brzeżan; *Dżurynki* w okolicach Czerwonogrodu; *Seretu* w okolicach Czortkowa; *Zbrucza* w paśmie Miodoborów w okolicach Kręciłowa. *Zaleszczyki* odznaczają się pięknem położeniem, łagodnym klimatem, malowniczemi strojami ludności i sadami morelowemi; *Potok Złoty* z ruinami zamku, *Okopy Św. Trójcy* z wałami Trajana.

W Zagłębiu naftowem mamy *Truskawiec* ze źródłem „Naftusia".

Kołomyja, stolica Pokucia, w czasie jarmarków prezentuje barwne stroje okolicznej ludności.

Szwajcarja wołyńska — teren godny widzenia ze względu na malowniczość wzgórz oraz piękne zabytki architektoniczne w miastach. Warte widzenia: *Krzemieniec*, malowniczo położony u stóp Góry Bony, *Poczajów* ze słynną „ławrą", *Dubno* z ruinami zamku Ostrogskich, *Ostróg* pięknie na skale położony.

Warto obejrzeć tereny sąsiadujące ze Szwajcarją wołyńską: ruiny zamku w *Łucku*, *Ołykę* — zamek Radziwiłłów, *Janową Dolinę* ze słynnemi kamieniołomami bazaltu, piękne pola dziko rosnących azalij nad rzeką Słuczą.

Podlasie jest różne pod względem obyczajowym i krajobrazowym od sąsiedniego Mazowsza i od wyżyny lubelskiej. Niektóre wioski są całe zamieszkane przez zagonową szlachtę.

*

Oto pobieżny przegląd terenów Polski, położonych między górami na południu, a morzem na północy, przegląd ważniejszych miejscowości i osobliwości.

Z tego rogu obfitości może sobie każdy turysta wybrać to, co go najwięcej pociąga i zajmuje, i ułożyć dowolny szlak wycieczki wakacyjnej dłuższej czy krótszej.

Wycieczka taka przekona najzatwardzialszego pesymistę, że nietylko góry i morze, ale również rozległe równiny polskie, rozpostarte z zachodu na wschód, dostarczyć mogą wiele wrażeń i prawdziwej rozkoszy turystycznej.

JADWIGA LENARTOWICZOWA



NA MAZOWSZU — Fot. Henryk Poddębski

LATO NA WODZIE

Należyte zorganizowanie i wyzyskanie letnich urlopów jest zagadnieniem poważnem i dla bardzo wielu osób niełatwem do rozwiązania. Zazwyczaj, idąc po linji najmniejszego oporu, robimy to, do czego przyzwyczailiśmy się oddawna — wyjeżdżamy na wieś, do letnisk podmiejskich, do zdrojowisk i uzdrowisk i t. p. Nie zdajemy sobie sprawy, że odpoczynek człowieka pracującego umysłowo, zmuszonego w mieście do siedzącego trybu życia, w większości wypadków zaniedbanego fizycznie, nie może polegać na bezczynności zarówno fizycznej jak i psychicznej.

Umysł musi pracować bezustannie, tylko od czasu do czasu trzeba mu dać pracę inną, odmienną, niejako odświętną.

Podobnie jak mięśnie, zmuszone w ciągu dłuższego czasu do wykonywania jednych i tych samych funkcyj, męczą się szybciej niż w wypadku, gdy spełniają różnorodne i urozmaicone czynności, tak samo jednostajna praca umysłowa nuży i wyczerpuje psychicznie.

Znamy wszyscy, a zwłaszcza sportowcy, dobroczynny wpływ masażu na organizm.

Zajęcie umysłu pracą nieobowiązkową i interesującą z pobudek, nie mających nic wspólnego z naszem codziennem życiem, a zwłaszcza obserwowanie piękna przyrody, zwiedzanie nieznanych przedtem okolic, przerzucanie się z miejsca na miejsce, odbieranie szeregu nowych i odrębnych wrażeń o pewnym wyższym poziomie estetycznym — wszystko to będzie owym psychicznym masażem, działającym odżywczo na substancję mózgową i nerwową.

Jeżeli przytem ciało nasze zmusimy do pewnego harmonijnego wysiłku, wystawiając je równocześnie na bezpośrednie działanie promieni słonecznych, powietrza i wody — wówczas dopiero osiągniemy istotny nasz cel: przywrócenie naruszonej przez współczesną cywilizację równowagi między duchem i ciałem oraz całkowite odrodzenie się całej naszej istoty.

Odpoczynek bierny, polegający na zupełnej bezczynności mięśni, konieczny dla robotnika, jest dla inteligenta wręcz szkodliwy. To są stare jak świat i znane wszystkim prawdy. A jednak... nie umiemy właściwie odpoczywać.

Jedną z najbardziej racjonalnych form takiego odpoczynku jest uprawianie turystyki, a zwłaszcza turystyki wodnej.

Kraj nasz pokryty jest gęstą siecią wodną, posiada wielką ilość jezior, szczególnie na Wileńszczyźnie i Pomorzu. Wody polskie nie są przeludnione i nie zatraciły jeszcze swego naturalnego uroku pod wpływem cywilizacji. Poznając Polskę z tej najmniej dotąd znanej strony, jesteśmy zdumieni i zachwyceni jej pięknem, niezwykłą rozmaitością form krajobrazu, daleką od monotonji i szablonu utartych szlaków, któremi kroczy dziś postęp.

Nasze drogi wodne są obecnie zapomniane, opuszczone i z tego powodu tak bardzo pociągają turystów. Są to naturalne żywe muzea przyrodnicze i etnograficzne. Nerwowy rytm współczesnego życia szuka przedewszystkiem drogi prostej najbardziej ekonomicznej. Kręte koryta rzek to przeszkoda dla wiecznie śpieszących się ludzi. Nad rzekami drzemią najstarsze nasze osiedla, pełne zabytków historji i sztuki, a ich mieszkańcy są jacyś inni, odrębni, niedzisiejsi, bardziej zżyci i zharmonizowani z otaczającą przyrodą.

Dziwnie łatwo przyzwyczajamy się do tej atmosfery, tchnącej prostotą i spokojem, dziwnie szybko zapominamy o sprawach, które niedawno były dla nas tak ważne...

Rzecz prosta, trzeba wyrzec się pewnej wygody, narazić się na niewielkie zresztą trudy i spróbować, jak miłe i beztroskie jest to prymitywne życie, spędzone w bezustannej kajakowej włóczędze, z fali na falę, z wody na wodę. Jak piękne i niezapomniane są noclegi w namiocie na wysokim brzegu, gdy wdole bełkoce rzeka, nad głowami szumią sosny, a z łąk idzie zapach świeżo skoszonego siana.

Kajak, namiot i własna kuchnia dają „wodniakom" zupełną swobodę i niezależność. Płynąc z prądem, niema potrzeby zbytnio przemęczać się wiosłowaniem, a nadprogramowe przenoszenie lub przeciąganie lekkiej łodzi przez mielizny, tamy i t. p. przeszkody, rozbijanie i zwijanie obozu — to tylko dodatkowa gimnastyka, która w połączeniu z codzienną kąpielą i pływaniem znakomicie rozwija mięśnie i hartuje organizm.

Wycieczki wodne są przytem niezwykle tanie. Poza wydatkami na zakupno niez-



KANAŁ AUGUSTOWSKI — Fot. Hlawiczka

będnego ekwipunku, jak kajak, namiot, materace gumowe, worki do spania, przybory kuchenne i t. p. rzeczy, które jednak służą nam w ciągu wielu sezonów, inne koszty są minimalne. Przy wycieczce czterotygodniowej utrzymanie, przejazdy i t. p. dwóch osób nie przekraczają 150 — 200 zł.

Członkowie Polskiego Związku Kajakowego, odbywający wspólne (grupowe) wyprawy 2 — 4-tygodniowe, czyli tak zwane wędrowne obozy wodne, otrzymują 80%-ową zniżkę kolejową z P. U. W. F., oprócz tego mają prawo nabywania indywidualnych biletów turystycznych na przejazd 1000 km za 30 złotych i 2500 km za 60 złotych.

Mówiąc o turystyce wodnej, mamy na myśli przedewszystkiem kajak lub kanadyjkę, ponieważ jest to typ łodzi lekkich, oraz łatwych do przenoszenia i transportu. Za przewóz kajaków sztywnych i kanadyjek koleją dla członków P. Z. K. opłata jak za rower; składaki, złożone w workach, przewozi się bezpłatnie, jako bagaż ręczny. Dla kajaka dobra jest każda woda szersza ponad 1 metr i ponad 10 cm. głęboka. Kajak, posiadający u burt boczne dętki (pływaki), nie może się wywrócić, a odpowiednio skonstruowany fartuch zabezpiecza najzupełniej przed zalewaniem. Kajak drewniany kosztuje bardzo mało (kajaki harcerskie od 40 zł.), co roku jednak musi być gruntownie odnowiony. Ponadto przy dalszych wyjazdach wzrastają i koszty przewozu. Składak jest znacznie droższy (300 — 450 zł.), posiada zato większą nośność (do 350 kg) i pakowność. Przechowywać go można w domu, koszty przewozu są minimalne, przytem jest zawsze gotów do użytku i nie wymaga corocznych remontów. Kajak sztywny wystarczy na 3— 4 sezony, składak zaś w dobrych rękach służyć może do 10 lat.

A więc... płyniemy!

Zrywamy z szablonem, pakujemy sprzęt turystyczny w plecaki, Główna Księgarnia Wojskowa dostarczy nam odpowiedniej literatury i przewodników, Samopomoc Inwalidzka — mapy o skali 1 : 300,000 i 1 : 100,000 — i jazda na wodę!

Początkujący spływać będą większemi rzekami, zaś stare i wytrawne wygi wodne zaszyją się w labirynt Polesia, ubielą żaglami jeziora Wileńszczyzny, Suwalszczyzny i Pomorza, spłyną pienistemi ściekami Popradu, Dunajca i Czeremosza, odwiedzą sobie tylko znane prześliczne skalne jary podolskie. Na bronz spali ich słońce, wywieje wiatr złe myśli i troski z głowy, wypłucze woda z ciał resztki miejskiej trucizny. Powrócą odrodzeni, szczęśliwi, pełni radości życia, wyleczeni z najcięższej naszej choroby — pesymizmu.

ADAM WISŁOCKI

WISŁĄ KU MORZU

Błękitną, falistą, kręto wijącą się smugą wiślaną ku morzu. Ze wszystkich środków lokomocji — ten najodpowiedniejszy w czas wypoczynku. Nie natłoczone, duszne wagony kolejowe, nie mknące porywiście w otoku kurzawy auta, ale właśnie wolno wlokący się wśród słońca i zieleni parostatek: urzeka swego biegu monotonją, lecz wzamian — udostępnia istotniejsze i żywsze wniknięcie w powoli zmieniający się krajobraz.

Tą samą pluszczącą smugą wiślaną — za dawnych, dawnych lat płynęły galeony i inne sprzęty wodne. W nieznaną głąb lądu, czy też — hen — ku odległemu ujściu królowej rzek. Majestatyczność dawnych, prymitywnych żeglarsko-rzecznych środków komunikacyjnych — udziela się dzisiejszemu zadumaniu na pokładzie.

Ciemna noc lipcowa, wybita migocącemi gwiazdami, przesycona światłem rozbawionej stołecznej Warszawy. Tuż u podnóża mostu Kierbedzia po prawej stronie warszawskiego brzegu przycupnęła sobie przystań drewniana. Tłumnie o tej godzinie na pomoście. Pokaźny zastęp amatorów podróży wiślanej przedostaje się w ścisku na parostatek, drzemiący w milczeniu swoich białych ścian po tamtej stronie pomostu. Raz wraz pod czyjemiś krokami zadudnią deski. Raz wraz czyjaś wypełniona waliza potrąci innego przyszłego współkompana podróży.

Spojrzeć na płaszczyznę rzeki. Aż lśni od świetlistego polerowania, które się załamuje wzdłuż fal. W głębi ciemność, unosząca się bezkształtnym oparem nad wodną dalą, świdrowana drobniutkiemi błyskami boi. Z mostu, z rozświetlonego miasta dobiega huk, hałas, łomot zbiorowego ludzkiego rytmu, przenikliwe dzwonki tramwaju. To wszystko nieomal opiera się o balustradę pokładową. Mrużę obciążone znużeniem oczy i z przyjemnością wdycham zalatujący powiew od fal, z północy mroczniejącej. Powiew — pachnący wodą.

Nagle: przeraźliwy sygnał odjazdu. Na przystani, na pomoście, na pokładzie wzrasta gorączkowe tempo pożegnania. Miesza się potok wielorakich słów w zwykłą kakofonję, — gdy zespół zespół żegna — przed podróżą. Ostatnie uściski rąk, ostatnie — przed wyruszeniem w wiślaną długą drogę — spojrzenia, słowa, gesty...

Zgrzytliwie odciągnięty zostaje pomost, skrzypią odczepiane łańcuchy. Jeszcze jeden potężny, władczy gwizd parowej syreny i — czynimy znaczne, regularne półkole na Wiśle, aby się dziobem ustawić w zgodzie z nurtem rzeki. Wydaje się, jakby statek gigantyczną, parową mocą odepchnął przystań, odepchnął siatkowy most Kierbedzia, odepchnął połyskliwie rozświetlone miasto. A brzegi — jakgdyby starały się współzawodniczyć z parostatkiem. Tylko, cóż — mimo wytężonej ambicji zostają w tyle. Wciąż w tyle. Ale mimo to nie upadają na duchu. Nieustannie ścigają się. Bezskutecznie, mozolnie, niezmordowanie, wytrwale, wszakże bez wyników pozytywnych przez cały przeciąg jazdy.

Mijamy oba stare mosty pod Cytadelą. Podczas przepływania — komin parostatku rozkłada się pod przepływanem przęsłem nawznak. Omijamy zamilkłe, groźne, ukrywające tyle krwawych carskich tajemnic, zarosłe drzewami wzniesienia dawnego upiornego symbolu przemocy. Bieleje mur, gdzieś połyska oświetlone okno. Och, jakie to inne czasy — Cytadelo — iż polski statek płynie Wisłą naszą, niepodzielną, zjednoczoną właśnie poprzez tę mękę, co za murami temi się działa!

Na przeciwnym brzegu — Pelcowizna. Na szosie modlińskiej punkt za punktem płoną latarnie. Rzekłbyś, iż korowód pochodni odprowadza w orszaku — wcinający się w pomrokę nocną statek.

Znów — rzut oka na lewy brzeg Wisły. Srebrnieją i złocą się w ciemnościach światła domów i ulic — białego za dnia Żoliborza. To iluminowanie Warszawy przy moście Kierbedzia i przy zabudowaniach staromiejskich, owa tajemnicza mroczność w obrębie Cytadeli i potop jasnego, przejasnego światła w najmłodszej dzielnicy stołecznej— czyż nie wymowne? nie symboliczne? Że światło miasta przejść musiało przez mroki tej to Cytadeli, aby rozpalić się gorejącym płomiennie zalewem na nowiznie żoliborskiej.

Statek szura falami. Dawno odpadł gwar miasta. Wchodzimy w ciszę nastrajaną miarowym trzepotem fal. Przed wzrokiem staje wyniosła ciemność: las. U stoku bieli się ściana prostopadle opadającego piasku. A, to Lasek Bielański pozdrawia żeglujących mrokiem swej omrocznialej i tajemniczością napełnionej lesistości.

Za nami — coraz łatwiej słabną światła wielkiego miasta. Do widzenia — Warszawo! Do zobaczenia po powrocie! Żegnaj na przeciąg paru tygodni szumiący żywicznie Lasku Bielański!

W tej chwili statek płynie sam. Czuwa nad nim myśl kapitana, wprawna ręka sternika, gotowość załogi, bystre a świetliste oko rozjarzonego reflektora. Ścigają się wiernie nadal z parostatkowym krętym biegiem oba rywalizujące brzegi. Patronuje temu dobrotliwie a wyrozumiale blask wysokich gwiazd.

Pora odpocząć, przygotować się do powitania bajecznego świtu na wiślanych falach. Statek łagodnie, nasennie kołysze. Kiedy niekiedy przez roztwarte okienka kajuty zawieruszy się bryzg wodny, mokry pyłek — wścibski przyjaciel, łagodny antagonista snu. Oczy się niewymuszenie kleją, pierś wdycha zapach nocy, smugi wiślanej, zapach nieba przetkanego gwiezdnem nasieniem.

...w iluż majaczących głowach sen, powodowany kołyszącym się statkiem, wzbudzi — niedorzecznie — Conradowską wizję lub chociaż miraż przygody Verne'a...

Już za Modlinem, poprzedzany zwiastunem brzasku, wkracza na dominjum horyzontu najjaśniejszy świt. Haftuje obłoczkami niebiosa, ubłękitnia, rozszerza widzialność. Pierzchają pobite mroki nocy. ciemnozieloną wyniosłością kędzierzawy lasów — wolno występuje w dostojeństwi purpury i złota słońce. Wita je szczerem zdumieniem — tak przeczyście piękne w owym momencie—oko paru śmielszych pasażerów, wcześnie zbudzonych ze snu, łowców świtu. Hołd składają natychmiast wzniecone chorały ptasie. A rzeka tworzy z nawykłą dokładnością lustrzanego szkliwa odbicie przepychów dziejącego się na wschodzie misterjum.

Pozdrawiamy wysoki Wyszogród, lekceważąco z mazurską butą patrzący lichotą swoich chatynek na nizinę Wisły i parostatek. Ocieramy się w dalszej drodze o znaczną, zalesioną wyspę rzeczną, o Kępę Tokarską. Na widnokręgu już dostrzega się przyzywające nas wieżyce płockiego tumu. Ani zrachować — jakże to się dzieje, gdy nasz statek mija most i uczepia się przystani — tak minjaturowo ustawionej u nadbrzeżnego poziomu wysoczyzny starego, mazowieckiego Płocka.

Dobrych kilka kwadransów na rekonesans po mieście, zajrzenie do zaułków, placów, uliczek. Chwila w szacownej katedrze, gdzie oko ze wzruszeniem ogląda kaplicę piastowską. Na sarkofagu widnieje orzeł. Czy ty, wyrzeźbiony orle, rozumiesz, że nad prostotą twojego symbolu, nad szczątkami panów, których przez wieki strzeżesz, unosi się dziś niematerjalny, lecz konkretnie żywy Orzeł Polski niepodległej? Dalej — oczarowanie perspektywy, jaka ściele się przed tobą—widzu, widzu—, gdy zdumiony spoglądasz wdal z wysoczyzny płockiej góry. Szeroko, swobodnie, polotnie. Ach, być ptakiem. I zaraz refleksja: jak cudowne być muszą zachody słońca dostrzegane z poziomu tego płockiego zakątka Rzeczypospolitej.

I znów na statku. W potopie pogodnego dnia wyraźnie się ocenia ów trud, jaki bierze na siebie statek, smarując smugę Wisły ku morzu. Przecież nie ma przed sobą podwójnie prostej drogi. Wisła biegnie ladajako, wywijasowato. A ponadto sprzysiężenie mielizn, zmowa łach czyni iluzorycznem zachowanie prostej linji na dłuższy dystans. Parostatek spieszy do celu krokiem pijanego: z prawej na lewą, z lewej na prawą stronę. Ster pracuje nieustannie. Aż podziw się budzi dla jego zwrotnych funkcyj, ażeby nie wpaść na łachę, ażeby nie być zmuszonym do podnoszenia statku przez załogę zapomocą specjalnego drąga w wypadku utknięcia. Co unieruchamia z zasady wodny wehikuł na ładny wielominutowy czas. Czuwa tedy profilaktycznie sternik i ster. Oraz spokojny, beznamiętny głos marynarza sondującego prętem drewnianym poziom toni. — Meter, meter, dziewięćdziesiąt, meter dziesięć — dolatuje ku nam. Wszystko w porządku. I osiemdziesiąt — też w porządku. Dopiero cyfra niższa wróży przyjemność osiądnięcia na piaszczystej ławicy.

W dalszym ciągu podróży znów na nas lekceważąco, bo zgóry spogląda wysłużony emeryt historyczny: Dobrzyń. Odbijamy od tutejszego wysokiego brzegu, aby w następnych paru godzinach zostawić za sobą gościnne, choć zasobne w piaszczystość Mazowsze, a zatrzymać się we Włocławku, płynąc już przez Kujawy. Most stawiają pod Włocławkiem, biją kesony, ażeby móc po żelazie, a nie jak dotychczas po drewnie przejść suchą nogą z miasta do Szpetalu, przedmieścia z za rzeki. Więc krótkie wpadnięcie do Włocławka, spacer po ładnych bulwarach, pogapienie się na parę większych fabryk, obejrzenie katedry, bardzo starej, wysłużonej, mrocznej. Zajrzenie do ładnego miejscowego parku, niedaleko biskupiej rezydencji.

Potem Nieszawa, stary omszały historją gród kujawski, dziś podupadły. Wysoko



NAROCZ — Fot. Jan Bułhak

obmurowany brzeg daje świadectwo, że za czasów niesławnej pamięci niewoli tutaj mieścił się moskiewski urząd celny dla berlinek i statków wiślanych. Na omurowanem wzniesieniu postawiła niepodległość pomnik pamiątkowy.

Rozstajemy się z Nieszawą, ażeby w stosunkowo krótkim czasie dobić do pobliskiego Ciechocinka. Piękny brzeg zarosły łozą. Za oczeretami: pagóry, kępy drzew, a wdali majaczy uzdrowisko. Sporo pasażerów wysiada kierując się wynajętemi pojazdami ku tężniom.

Za Ciechocinkiem — niepostrzeżenie przepływamy dawną granicę zaborów. Ani śladu. Nawet się nie czuje. I pomyśleć, iż dawniej tu były dwa obce państwa, na ziemi naszej. Jakże dziś to trudne do wiary!

Opływamy Złotorję z pseudogockim czerwonym kościołkiem. Złotorję, o którą bił się tak zawzięcie Piastowicz, Władysław Biały. Z historycznej miejscowości nic nie zostało, oprócz szczątków ruin zamkowych. A Drwęca — dalej — jak płynęła tak płynie i nadal wpada do Wisły. A Wisła wciąż niezmiennie odmierza nurt rzeki, swój wieczysty nurt.

O 6 popołudniu wita nas Toruń wieżami wyniosłych, gotyckich kościołów, obydwoma mostami, oraz pasmem ceglanych, pokrzyżackich murów. Wypad na miasto, pokłonienie się duchowi nieśmiertelnego Kopernika, staremu Ratuszowi, ponuremu olbrzymiemu kościołowi Świętego Jana, Bramie Żeglarskiej. Toruń zostawia tęgie, niezatarte wrażenie dawnością, co skupiła się przy Rynku, modernizmem rozkwieconym a jasnym Bydgoskiego Przedmieścia.

Czas wsiadać. Tedy ze statku już w kierunku na Fordon, Grudziądz podziwiamy bajeczny zachód słońca. Jak na zachodzie jeszcze sycą się blaski, gdy wschód pociemniały gwiazdami i księżycem mrokom swym przyświeca. Przypomina się świetnie plastyczny Słowackiego opis polowania na sumaka, gdzie o świcie rozdziela się na dwie części świat. Tu sytuacja podobna, choć odwrotna, pyszna w swej okazałości.

Na górnym pokładzie naszego salonowego statku pełno pasażerów. Na leżakach, w wygodnych trzcinowych fotelach, albo zgoła na ławkach. Dominujący odsetek pasażerek. Ci czytają gazety i książki, inni — wiodą zapalczywe dyskursy. Tamci wlepiają oczy nowicjuszów w panoramę, ścielącą się po jednej i po drugiej stronie Wisły. Nierzadko—czwórka rżnie w karcięta, których zebrane lewy przezornie przyciska kamuszek. Iżby nie sfrunęły do rzeki z podmuchem wiatru. Radjo podaje taneczne melodje. Parki romantycznie przytulają się do siebie. Mnóstwo parek. Statek mknie naprzód, w słabnący zachód, zostawiając za sobą szklane faliste bruzdy na spokojnej wodzie.

Już od Ciechocinka zmienił się obraz Wisły. Niema na brzegach bałamuctwa zalewów, piaszczyste łachy są ostrożniejsze w nagabywaniu śpieszącego statku przymusowym postojem. Ot, rzeka otoczona starannością jest wdzięczna.

Znowuż noc kołysze nas monotonją statku. Śpimy nieczuli na wszystkie sprawy świata. Niech się martwią fale, bryzgi, sternik. kapitan, reflektor.



WISŁA POD WYSZOGRODEM — Fot. Zdzisław Marcinkowski

Nocą postój w Grudziądzu. Jak z rzeki prezentuje się to miasto — niewiadomo. Bo przysłowie, iż po nocy wszystkie koty i miasta są szare.

Po brzasku rozpoczynamy ostatni etap wiślany. Nowe, Gniew, Tczew. Wisła jest dotąd całkowicie naszą, ale po tamtej, prawej stronie — za ileś tam metrowym pasem Polski — rozpoczynają się Prusy Wschodnie, nieszczęsny kraj warmiński, odpadły po niepomyślnym plebiscycie od macierzy w roku 1920. Jedna tylko gmina Janowska vis-à-vis Gniewu zadokumentowała swą polskość jednomyślnie, i dziś przynależy do Rzeczypospolitej. Widoczne z pokładu statku domy Kwidzynia są w Niemczech.

Niedaleko już Tczewa mijamy po prawej stronie miejscowość Piekło, styk trzech granic: Polski, Rzeszy i Wolnego Miasta Gdańska. Od Piekła strona prawobrzeżna naszej rzeki mieni się gdańską.

Oto już Tczew. Zdaleka wciskają się w oczy: kompleks ponurych mostów, zarysy kościoła. Tu przesiadamy się na morskie maleństwo „Carmen", które ma nas zawieźć do Gdyni.

O 8 rano, po godzinnym postoju — gruby gwizd, i „Carmen" z godnością kieruje się ku Bałtykowi. Przepływa pod mostami, śmiga jak może miejscową głęboką Wisłą, zostawia wylot basenu portu tczewskiego za sobą. I pędzi, pędzi dalej. Po obu stronach brzegi to czarnoziemne żuławy. Zabudowania dostatnie, bydło dobrze wypasione. Mostów niema — lecz zato składnie funkcjonują mechaniczne promy. Spostrzegając idący w stronę morza statek — gdańszczanie z promów wymachują rękoma i chusteczkami. Nasi pasażerowie odwzajemniają się. Parę minut trwa wymiana kurtuazji.

O ile końcowy etap podróży statkiem rzecznym wywoływał już wskutek swej przydługości akcenty znużenia, o tyle przesiadając się na pokład „Carmen", pasażerowie nabrali wprost wigoru. Nieustannie pielgrzymują po „carmeńskich" zakamarkach. Nieustannie się fotografują. Jakże, przecież dla wielu to będzie pierwsza, inauguracyjna podróż morska. Słychać dopytujące się głosy: gdzie morze, gdzie Bałtyk? Mimo iż „Carmen" w porównaniu ze statkiem rzecznym jest ekspresem, wnet dosłuchujemy się utyskiwań na... zbyt powolną jazdę... Jakby istotnie dało się zestawić dwie noce i dzień trasy rzecznej z czterema godzinami wodnego szlaku Tczew — Gdynia.

Mijają nas statki idące od ujścia. Następują sygnałowe wymiany gwiżdżących komplementów, aż się panie chwytają za muszelki uszne. Mężczyźni nie — są twardzi, ale pewnie bez słuchu.

Po blisko dwugodzinnej podróży żuławami — przed oczyma ukazuje się rąbek morskiego przestworza. Na pokładach poruszenie, lornetowanie, uwagi. Aparaty fotograficzne żarłocznie ów rąbek konsumują. Lecz „Carmen" odrzuca precz z drogi ten rąbek sztucznego Wisłoujścia i sunie do śluzy „Einlage".

Brzęk, szczęk, chichot maszynerji, bulgot wody. „Carmen" mija jedną zaporę. Zamyka się. Równanie poziomów wody. Otwiera się następna zapora — wypustowa, statek ma otwartą drogę do samej Gdyni, a nawet i na ocean Atlantycki. Obserwator rzuca parę orjentacyjnych spojrzeń na gromadkę pasażerów. Boże, co za poruszenie, co za wzruszenie maluje się na wielu twarzach! Znać, że niedaleko morze. Znać, że wkraczamy w decydujący etap podróży. Na pokładach skupienie — powiedziałbym: nastrój jakiegoś niewyrażalnego marynistycznego nabożeństwa. Pasażerowie powstają, tłumnie głośno perorują, zamieniając uwagi wśród siebie. Cisną się ku przodowi naszego okręciku.

Ale też i jest co zobaczyć. „Carmen", wyszedłszy ze śluzy, pozostawia za sobą po lewej stronie t. zw. Martwą Wisłę, a obok Kępy Bąsackiej żegluje ku sinemu Bałtykowi. Na okręciku — entuzjazm obserwacji. Ktoś — cieszy się, że odczuwa już morskie falowanie. Inny dostrzegł latarnię morską. Ktoś inny znów mewę, niezmiernie utylitarystyczne stworzenie: za kawałek bułki gotowe towarzyszyć niewiadomo gdzie.

Ujściem, utworzonem wskutek wylewu z roku 1840, wypadamy na morze, na Małe Morze, na Zatokę Gdańską. Fale przechylają statek, kołyszą, nawet obryzgują. Mewy rozmawiają ze sobą. A my — pasażerowie — jesteśmy niewymownie radzi, że oto wreszcie, że oto na morzu. Słońce polerownie sczyściło widnokrąg. Widok zarysu Gdańska, nad którym góruje kolos wiekowego kościoła Marjackiego. Budzi to na statku liczne zapytania. „Carmen" jakby nabrała skrzydeł. Wyrywa ile sił. Naprzód, naprzód. Mijamy plażę Jelitkowa nieźle widoczną, jak również bursztynowy brzeg sopocki. Na prawo — w bardzo dalekiej mgle oddalenia — wysterka Hel.

Tam, przed nami, mrocznieją wyniosłości okędzierzawione lasami. To Kolibki, cypel Orłowa Morskiego, Kępa Redłowska. To Kamienna Góra, to przylądek Oksywie. Statek już poprostu podchodzi na Molo Wilsonowskie. Widać równinę Gdyni zabudowaną gmachami i urządzeniami portu. Coraz bliżej — coraz okazalej — coraz wyraźniej — serdeczniej. Godzina 12. Południe. Upał. Przybijamy do białokamiennego miasta. Witaj Gdynio! Witaj pierwszy porcie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

MORZE I POBRZEŻE

Morze. Nieskończona jest skala uczuć, które budzi to słowo. Każdy z nas odnajdzie w niem mocny związek z różnemi stronami swych umiłowań i zainteresowań najbliższych. Morze — to rozległe widnokręgi rozwoju potęgi Państwa, to jego przyszłość gospodarcza, to najpiękniejsza, najlepsza droga w świat, to realizacja marzeń młodzieńczych o innych lądach i ludach, to najczarowniejszy świat przygody, to ujście dla energji ludzkiej w najbardziej pociągających sportach, to świat pracy i walki, ale i miejsce najgłębszego wypoczynku, najlepszego odprężenia nerwów i zadowolenia estetycznego. Tu, jak nigdzie na lądzie, czerpie się zdrowie z najczystszego powietrza i słońca, którego jasnych promieni, tak szczodrze szafowanych na naszem wybrzeżu, nie tłumi żaden kurz. Tu spokój nerwom przywraca rytmiczny plusk fali, przykuwają uwagę jej ciągłe igraszki, czaruje i koi nieustanna gra barw.

Niewiele mamy tego morza, sto kilkadziesiąt zaledwie kilometrów pobrzeża, ale jakże malowniczy, jak urozmaicony jest ten skrawek ziemi nadmorskiej.

Kiedy, rankiem pociąg przybywa do Gdańska, wszystkich opanowywa nastrój

SOPOTY 90 LAT TEMU

I

Są ludzie, którzy lubią grzebać w starych szpargałach. Do tych ludzi należy i autor niniejszego szkicu. Takie obcowanie z ludźmi dawno zmarłymi, poza poznaniem duchowości osób nieżyjących, a jednak nam nieraz bliskich, otwiera często nowe perspektywy na niejedną rzecz znaną dzisiaj w zupełnie innem świetle.

Drogą spadku otrzymałem cztery listy pani Seweryny R., malujące Sopoty, kurację morską i życie towarzyskie tamże tak ciekawie, że postanowiłem udostępnić je ogółowi, który znajdzie w nich wiele szczegółów nietylko nieznanych, lecz wprost niepodejrzywanych. Rzecz bowiem dzieje się przed dziewięćdziesięciu laty, dokładnie w roku 1844.

Pani Seweryna była żoną nie byle kogo, bo pana podporucznika 2-go pułku Strzelców Konnych Franciszka R., kawalera orderu Virtuti Militari, bohatera z pod Grochowa, Wawra, Dębu i Ostrołęki, jak świadczy „Wymienienie bitw, w których się znajdował" w jego stanie służby.

Pani Seweryna cierpiała na nogi, które jej puchły i tak bardzo ją bolały, że prawie chodzić nie mogła. Leczył ją znów nie byle kto, bo sam pan Marcinkowski z Poznania — pani Seweryna mieszkała bowiem w Księstwie Otóż pan Marcinkowski polecił jej kąpiele morskie, jako bardzo skuteczne na jej dolegliwości. Wybiera się tedy pani Seweryna całym dworem do Sopot. Jedzie we własnej karecie z towarzyszką podróży i dwojgiem służby. Oto co o tem pisze pani Seweryna:

„Wyjechawszy z Bydgoszczy o 9 godzinie z rana, stanęłyśmy w Gdańsku o pół do 5 także z rana, gdzie odpoczęłyśmy dobrą godzinę i stanęłyśmy w Zoppot na ósmą". (List z dn. 21.VII).

II

Zaraz na początku natrafili nasi podróżnicy na wielkie trudności mieszkaniowe. Albowiem „Zoppot to bardzo wesoła wioska", jak stwierdza pani porucznikowa, lecz zawsze wioska.

Przedewszystkiem martwi panią Sewerynę drożyzna pomieszczeń. Oficjalnych budynków niema, oprócz oberży, która w roku 1844 spełnia funkcje domu zdrojowego (Kurhauzu).

Jednak „w oberży stanęłyśmy tylko godzin kilka, bo poczciwa Zosinka widząc mnie tak zmęczoną sama z Tomaszewską gorliwie zaczęły się starać o Stancyje, które w Zoppot są bardzo drogie. Ja nawet sama nie oszczędziłam moich opuchłych nóg i także obchodziłam kilka Domów, ale nigdzie nie mogłam znaleźć tańszej nad 50 Talarów z remizą do powozu. Stojemy (*sic!*) u Żyda, mamy pokoi dwa, aptyczkę, kuchnię i małe poddasze. Dla służącego jest wesoła stancyjka i bardzo wygodna. Wszystkie tu są w tem guście, ale malowane i trochę lepiej umeblowane, to zaraz są o wiele droższe. Dziś jeszcze wzięłam obiad z Oberży, bo tak prędko nie mogłyśmy urządzić naszego małego gospodarstwa. Zosinka w Gdańsku zaopatrzyła w potrzebniejsze rzeczy aptyczkę naszą, kupię teraz tylko kilka garnuszków, to już wszystko będziemy miały, co nam potrzeba" (List j. w.).

Że Sopoty wówczas pod względem kultury mieszkaniowej stały bardzo nisko, że brak w mieszkaniach było nie tylko komfortu, ale nawet najprymitywniejszych rzeczy pierwszej potrzeby, świadczy następujący passus w liście do męża, który miał po panią Sewerynę przyjechać:

„Przywieź z sobą poduszkę safianową i kołdrę, bo nie wystawiasz sobie, jak w Zoppot nic dostać nie można". (List z 8.VIII).

Z tych dwóch cytatów widzimy, jak niedawną jest kultura Sopot jako kąpieliska morskiego. Jedną tylko cechą nie różnią się dawniejsze Sopoty od dzisiejszych, to jest drożyzną mieszkaniową. 50 talarów bowiem, przeliczonych na dzisiejszą walutę polską, wyniesie ponad 300 złotych, co jako czynsz miesięczny za stancję choćby dwupokojową i z remizą do powozów, lecz bez utrzymania, było bardzo drogo.

III

Pani Seweryna miała listy polecające swego lekarza, pana Marcinkowskiego, do lekarza sopockiego. Z tym lekarzem była mała tragedja, a raczej tragifarsa. Ale nie uprzedzajmy wypadków i oddajmy głos pani Sewerynie. Oto co pisze:

„List Pana Marcinkowskiego oddałam tutejszemu Doktorowi. Był u mnie z wizytą, dałam mu talarów trzy, zdaje się bardzo rozsądny człowiek, mówi ale po francusku z czegom się bardzo ucieszyła, bo inaczej nie wiem, jakbym się była z nim rozmówiła. Nie kazał mi się żadną miarą kąpać dwa razy na dzień w początkach dlatego, że w tym roku tak jest woda zimna, żebym sobie mogła bardzo zaszkodzić". (List z 21.VII).

„Doktór, którego wzięłam zaraz po przybyciu mojem, jest niedobrym i nawet został skasowanym za głupią książkę, którą wydał. Żałuję bardzo mego dukata, którego napróżno wydałam. Pan G., który dla wszystkich jak w Xięstwie tak za granicą jest bardzo grzeczny i uczynny, był łaskaw sprowadzić mi Doktora bardzo dobrego, który tu z Gdańska dojeżdża i od wszystkich osób brany. Znajdował (*sic!*) mnie bardzo słabą i żadną miarą nie pozwolił mi brać dwóch kąpieli na dzień przy tak szkaradnym czasie. Powtarzałam mu kilka razy, iż Pan Marcinkowski kazał mi się kąpać dwa razy i to nie zważając na czas jaki jest. Powiedział mi, iż zwykle Doktorzy morscy lepiej się na tem znać mogą, jak Doktorzy, którzy nad morzem nie mieszkają. Później, gdy mnie znajdzie mocniejszą i będzie piękniejsze powietrze, to może mi każe brać po dwie kąpiele. Słucham go więc, bo sama czuję się teraz za słabą do dwóch kąpieli". (List z 23.VIII).

IV

Bardzo dużo miejsca poświęcono w listach pani Seweryny kapitalnemu zagadnieniu kąpieli morskich, dla których przecie jedynie przyjechała. Z początku odnosi się do morza nieufnie, chociaż nie boi się wcale. Pisze więc:

„Dziś już się pokąpałam i bardzo mi jest dobrze. Woda bardzo zimna, ale ką-

podniecenia. I stare wilki morskie *recte* — wygi plażowe — i nowicjusze rzucają się do okien i trwają „w jakiemś oczekiwaniu tęsknem i radosnem". Mijają, wypatrując, strojne gmachy gdańskie, strzeliste wieże i upiorne sylwety dźwigów portu rzecznego, lotnisko Wrzeszcza, aż wreszcie w Oliwie, na odległym planie, poniżej horyzontu odsłania się sina, potężna dal. Okrzyk zachwytu i ulgi: morze! morze! wyrywa się z ust i tych, którzy dorwali się do okna, i tych, co gorliwie depczą im po piętach, wspinając się na plecy. Coś jak: Thalassa! Thalassa! rycerzy ksenofontowych. Kolibki —granica polska. Przy potoczku Swelinie słup graniczny wskazuje, odkąd wolno nam dzisiaj liczyć wybrzeże polskie. Nie Kolibki jednak ze swemi wspomnieniami o siedzibie Weyherów, Radziwiłłów i Sobieskich, o których gwarzą prastare lipy, lecz stacja kolejowa Kack Mały otwiera serję naszych kąpielisk morskich w Zatoce Gdańskiej. Od Małego Kacka piękna, ocieniona szosa wiedzie do uroczego Orłowa. Miejscowość ta, położona w samym środku wybrzeża Zatoki nawprost otwartego morza, w odległości półtora kilometra od Sopot, tuli się do potężnej Kępy Redłowskiej, która swą wysokością 90 metrów nad poziomem szumiącego u jej stóp morza panuje nad wybrzeżem od Gdańska aż po Hel.

Orłowo, przed wojną maleńka miejscowość kąpielowa, rozwija się wspaniale. Poza Domem Kuracyjnym posiada dziś szereg wygodnych pensjonatów i will. Długi pomost pozwala na spacery w głąb zatoki i rozkoszowanie się istotnie niezwykłem pięknem tutejszej przyrody. Zatoczkę orłowską od wiatrów północnych i zachodnich osłania potężna góra redłowska pokryta starym wspaniałym lasem z licznemi zabytkami przyrody w tutejszym rezerwacie. To też Orłowo stanowi nietylko nieocenioną stację kąpielowo-klimatyczną, ale i znakomity ośrodek sportów wodnych. Nietylko parowce osobowe, ale i jachty, kajaki oraz wszelkie łodzie mają tu doskonalą przystań i punkt wypadowy.

Poprzez lasy Kępy Redłowskiej, wśród romantycznych polanek kwiecistych, spada droga ku Kamiennej Górze, wykwintnemu przedmieściu Gdyni. Całe obszerne zbocze wzgórza, położonego w południowej części miasta, mocno nasłonecznionego, założone zostało jako dzielnica willowa, tonąca w kwiatach i zieleni. Ulice skanalizowane, dobrze oświetlone i zabrukowane, łagodnemi serpentynami wspinają się na szczyt wzgórza, stromo spadającego ku morzu i starannie utrzymanej plaży. Na szczycie wzniesiono fundamenty potężnej świątyni — Katedry Morskiej — która, według natchnionego projektu Bohdana Pniewskiego, pojęta jako okręt o trzech wieżach-masztach, ma panować nad miastem i nad zatoką, stanowiąc charakterystyczny akcent architektoniczny dla okrętów zbliżających się do pierwszego polskiego portu morskiego.

Z pod rosnących wzwyż murów Katedry Morskiej rozciąga się panorama Gdyni, od wschodu ograniczona bezmiarem morza z mglistym w oddali długim pasem półwyspu helskiego, od północy wysokim cyplem Oksywia, od zachodu i południa wieńcem wzgórz lesistych. Dziś, patrząc na obszar miasta, na monumentalne jego gmachy, na ogromną taflę wód portu, na mnogość w nim masztów i kominów, słuchając czystej polskiej mowy krzątających się po niem tłumów, z jakiem uczuciem radości i tryumfu wspomina się te niedawne przecie czasy, kiedy tu, przed wojną, przybywało się aby ze ściśniętem sercem, z najgłębszym niepokojem doszukiwać się resztek polskości w nędznej wioszczynie rybackiej, noszącej urzędową nazwę *Gdingen*.

Gdynia, jej rozwój i znaczenie morskie posiadają całą literaturę szybko wzrastającą, polską i obcojęzyczną, mniej tylko jest podkreślane jej piękne położenie u stóp malowniczych, lesistych wzgórz i romantyczny urok spacerów w leśnych wąwozach, przecinających te wzgórza, oraz wycieczek wśród lasów i gór do jezior Szwajcarji Kaszubskiej. Pozostawmy zatem te Wrota do Polski i przypatrzmy się innym zakątkom Pobrzeża.

Bujne życie letniskowe miejscowości nadmorskich, licznie nawiedzanych, tłumi na czas lata charakterystyczne życie miejscowej ludności rybackiej. Wśród plażowań, spacerów i dancingów niepostrzeżenie niemal przechodzi twardy trud rybaka. Gdy wypoczęte damy ciągną wygrzewać się na piaski wybrzeża, w portach rybackich kołyszą się już po pracy nocnej łodzie i kutry, tylko sieci i żaki na węgorze, susząc się na słońcu, świadczą o nieustannej walce rybaka z morzem.

Kto chce poznać życie rybacze pełne trudów, niebezpieczeństw, a swoistej poezji i malowniczości, ich pracę-żywicielkę podstawową, koło której obracają się wszystkie myśli, zabiegi i z której płyną ich rzadkie radości, niechaj poszuka ustronia, zresztą niedalekiego np. Rewy lub Mechlinek. Tam, wynająwszy za grosze niską lecz schludną izbę rybacką, będzie mógł wejść w stosunki sąsiedzkie z tym ludem tak twardym i odpornym wobec obcych, a tak pełnym swoistego wdzięku w obejściu ze swymi, przysłuchać się ich mowie tak przedziwnie łączącej obce naleciałości z jędrną polszczyzną, godną Rejów i Kochanowskich, wziąć udział w ich wyprawach nocnych.

Stolica kaszubszczyzny nadmorskiej — to Puck. Miasteczko czyste i pełne swoistego nastroju, tuli się do wielkiego kościoła gotyckiego z czerwonej cegły i ożywia się tylko w dni targowe, kiedy zjeżdżają się rolnicy okoliczni i letnicy, czyniący u nich zakupy produktów wiejskich z pierwszej ręki. I jedni i drudzy licznie odwiedzają sklepy, noszące typowe kaszubskie firmy jak: Miotk, Budzisz, Murza, Kąkol i t. d. Port w Pucku, który początkowo rywalizował z Gdynią, uległ zupełnie swej współzawodniczce. Zachował on charakter zdecydowanie rybacki, nie zmieniają go wiele łodzie wojskowe. Zato warkot hydroplanów przypomina o istniejącem tu lotnisku.

Za Puckiem, na szerokiem płaskiem wzgórzu tuż nad zatoką pięknie uprawnem, leży duża wieś Swarzewo, licznie odwiedzana przez letników, których przyciąga wysokie, suche położenie nad morzem. Rzeźba gotycka, przedstawiająca Matkę Boską, ściąga tu w połowie lipca i w początkach września pielgrzymki piesze i wodne z wsi helskich. Niezmiernie dużo nastroju dają pieśni tych pątników o osobliwym zupełnie wyrazie, naśladujące jakgdyby głos wichru i morza.

Za Swarzewem na dużej równinie, pomiędzy zatoką pucką, tu zarośniętą sitowiem, a morzem, tuż u podstawy półwyspu helskiego rozsiadła się, obok Kaszubskiej Wielkiej Wsi, rozległa miejscowość kąpielowa Hallerowo, z mnóstwem will i domów nowocześnie zbudowanych w paru latach ostatnich. Położenie nad morzem otwartem — tak zwanem Wielkiem Morzem — i las nadbrzeżny z piękną plażą ściągają do licznych pensjonatów wielu kuracjuszy, pragnących połączyć troskę o zdrowie z rozrywkami.

Z Wielkiej Wsi rozwidla się wybrzeże. Z jednej strony ku południo-wschodowi wyciąga się w mierzeję helską, z drugiej, ku zachodowi, wysokim brzegiem biegnie ku granicy polsko-niemieckiej.

Mierzeja helska to jeden z najosobliwszych tworów przyrody. Wąski pas ziemi piaszczystej, długości 37 kilometrów, szerokości 300 metrów w najwęższem miejscu i 1500 w najszerszem u zakończenia, porośnięty lasem sosnowym, od strony morza posiadający barjerę wysokich wydm piaskowych, jest darem morza, ale ciągle przez to morze zagrażanym. O utrzymanie stanu posiadania przed żywiołem, który w chwilach gniewu próbuje pochłonąć półwysep, człowiek walczy uporczywie, hodując tutaj roślinność ochronną, i dotąd z walki wychodzi zwycięsko. Niepodobna wyobrazić sobie doskonalszych warunków zdrowotnych nad te, jakie daje przyroda na półwyspie helskim.

Mierzeja, otoczona morzem i pokryta lasem, daje najczystsze powietrze morskie z balsamicznemi aromatami lasu. Wsie rybackie na półwyspie, o chatach skupionych na małej przestrzeni, choć czyste, nie wykazują w pełni tych cudownych warunków i dają złe świadectwo dawnej pruskiej gospodarce. Dzisiejsze budownictwo na mierzei helskiej, jak np. kąpielisko Jurata, nowe budowle we wsi Helu, w Jastarni, Borze i w Kuźnicach, dają pełnię wygody i możności korzystania z błogosławieństw tego zakątka Polski. Naturalnie i tutaj zabiegliwość ludzka potworzyła mnóstwo pensjonatów, kawiarń, restauracyj z dancingami, gdzie żądni zabaw znaleźć ich mogą do syta. Doskonała komunikacja kolejowa i morska z Gdynią udostępnia korzystanie z wszystkich osiedli helskich.

Jeżeli gospodarka niemiecka, poza Sopotami i wsią Helem, pozostawiła dzisiejsze wybrzeże nasze jako zapadły kąt, zapomniany i zaniedbany, to kilkanaście lat polskiej gospodarki świetne daje świadectwo tej „polnische Wirtschaft". Oprócz cudu Gdyni, cały kraj przeobraził się i zagospodarował. Wszystkie miejscowości dawne i nowopowstałe połączone świetnemi asfaltowemi szosami. Jedna właśnie z takich szos, nieco zbyt szumnie nazwana autostradą, prowadzi od Wielkiej Wsi — Hallerowa ku zachodowi w pobliżu brzegu morskiego.

I tutaj znowu przyroda tyle zgromadziła swych uśmiechów, że na powierzchni około 10 kilometrów utworzył się zakątek prawdziwie uroczy. Autostrada nadmorska z Hallerowa wznosi się zlekka na wysokość kilkudziesięciu metrów, biegnąc w odległości 300 metrów od brzegu, który poza szeroką plażą podnosi się nagle na wysokość 50 — 60 metrów, otwierając rozległy widok na morze, niezwykle tu urozmaicone częstym przejazdem okrętów i statków, ciągnących tędy nieustannie do Gdyni, Gdańska i do portów pruskich, łotewskich, sowieckich i finlandzkich. Z tej wyżyny ze szczególną wyrazistością występuje niezmierne bogactwo gry barw — od złotego piasku wybrzeża, poprzez czerwonawe tony dna przybrzeżnego, do zieleni, błękitu, lazuru, zmieniających się z każdą porą dnia i z każdym silniejszym podmuchem wiatru. Wysoki brzeg przecinają głębokie parowy porośnięte gęsto krzakami żarnowca, w okresach kwitnienia pokrywającego się jaskrawo żółtem kwieciem, i rokitnikiem, jarzącym się od jagód pomarańczowych. W parowach cienisty chłód w dni upalne daje gęste listowie mnóstwa drzew i krzewów. Taki np. Lisi Jar koło Tupadeł zostawia wrażenie niezapomniane. Liczne wille ogrodami kwiecistemi pokryły dziś puste doniedawna wyżyny. Droga mija potężną latarnię morską w Rozewiu o sile 6 miljonów świec i wkrótce osiąga najwynioślejszy punkt tej części wybrzeża — Jastrzębią Górę. Przy niezwykle pięknym prastarym lesie bukowym, spływającym po stromem zboczu od Rozewia aż do morza, wzniesiono tu szereg pięknych will, otoczonych ogrodami. Cisza, spokój, plażowanie, kąpiele, sporty dają wypoczynek i zdrowie strudzonym i wyczerpanym kuracjuszom.

piele bardzo dobrze urządzone. Nie bałam się wcale, ale te Niemki to mnie zadziwiły, bo tak wskakiwały w wodę, że ja aż się przestraszyłam, myśląc, że się jedna z nich topi". (List z 21.VII).

Nie dobrze jednak trafiła w tym roku pańskim 1844 do Sopot. Zastała tam bowiem stałą niepogodę. Więc przy relacjach o skutkach kąpieli ciągłe skargi na złą aurę:

„Od czasu przybycia naszego do Zoppot ciągle pada, błoto po kostki i powietrze bardzo zimne. Ja nie kąpię się tylko raz na dzień i już wzięłam kąpieli 10, bo jednego dnia kąpałam się dwa razy. Nie wystawiasz sobie kochany Frąsinku, jak po tych kąpielach czuję się słaba. Nogi mi otęchły, ale chodzić prawie wcale nie mogę. Pocieszają mnie tu wszyscy, iż kąpiele mi niezawodnie pomogą, bo zwykle do 20 osłabiają". (List z 29.VII).

Kąpiele jednak mimo deszczu i zimna pomagają, przyczem pani Seweryna okazała się kuracjuszką tyle wytrwałą, ile zahartowaną, jak można wywnioskować z poniższego ustępu:

„Kąpiele moje kończę 27 Sierpnia, bo już od kilku dni biorę po 2 na dzień. Czuję się teraz wiele mocniejszą i mam w Bogu nadzieję, że po ukończeniu moich 60 kąpieli będę zdrową zupełnie i mocną. Nieszczęście tylko, że od przybycia naszego ciągle deszcz pada i błoto okropne, jednak mnie to nie zastrasza i nigdy ani jednej kąpieli nie opuszczam, żebym w wyznaczonym czasie wszystkie moje kąpiele wybrać mogła". (List z 8.VII).

Tym akordem błotno-deszczowym kończą się relacje kąpielowe pani Seweryny.

V

Stosunki towarzyskie również zajmują w listach pani Seweryny sporo miejsca. Niestety muszę opuścić ploteczki, co z konieczności musiałoby pociągnąć wymienienie nazwisk osób, których bliscy i najbliżsi potomkowie dzisiaj jeszcze żyją.

„Teraz zaczyna się tu zjeżdżać dużo Polaków, ale z różnych stron, dlatego też, żeby się poznali, utworzyli dwa razy na tydzień wieczory w tutejszej Oberży, która ma bardzo ładne Salony". (List z 29.VII).

Stwierdza jednak pani Seweryna, że „na nieszczęście młodzieży niewiele".

A w tydzień później pod datą 2.VIII, napisze: „...wiele osób codziennie przybywa. Wszystko po stancyjach siedzi i skromnie żyje, bo nie wystawisz sobie kochany Frąsinku, jak tu jest wszystko drogo".

Pod kątem tej drożyzny rozpatruje pani Seweryna w tym samym liście krótko sprawę w oberży:

„W ostatnim liście pisałam do Ciebie, że mają tu bywać wesołe wieczorki, które zawsze dla mężczyzn są kosztowne, bo każdy musi dać po dwa Talary. Byłyśmy na jednym".

Jak widzimy, nasze prababki bawiły się równie wesoło, jak ich prawnuczki na dancingach, które wtedy nazywano wieczorkami.

VI

Długotrwałe deszcze spowodowały wylew Wisły. O tym wylewie spotykamy następującą wzmiankę w liście z 2.VIII:

„Wisła okropne szkody miała urządzić. Kilka mostów pozabierała i wiele drzewa i zboża kilku Panów, którzy tu są, pozabierała. Pomimo tego szkaradnego czasu i tak niepomyślnych żniw nie mają ci tu Panowie żadnych widoków, żeby była popłata na przyszły rok dlatego, że w Angli podobno urodzaje ogromne i sprzęt jak najpiękniejszy".

VII

Wycieczki z Zoppot w roku 1844 robiono takie same, jak przed dwudziestu laty. Dziś w niepodległej Polsce przybyły takie atrakcje, jak Gdynia i szereg kąpielisk nad polskiem morzem. Jednak jeszcze w roku 1911, kiedy autor tego szkicu był w tychsamych Sopotach, znano tam jedynie trzy wycieczki: do Oliwy, Gdańska i na Hel. Wszystkie te miejscowości poznała i pani Seweryna. Oto co pisze w liście z 2.VIII o swojej wycieczce do Oliwy, — Gdańsk poznała w czasie podróży:

„Dnia wczorajszego byłam w kościele w Oliwie. Kościół przepyszny, ale ten koncert na organach znudził mnie i żadnego wrażenia na mnie nie zrobił. Jak będę mocniejsza, to wtenczas pojedziemy zwiedzać tutejsze piękne okolice, gdzie wszędzie trzeba dużo chodzić i najwięcej po górach, a ja teraz jeszcze nie mogę".

Jednak nietylko o własną przyjemność dba pani Seweryna. Chodzi jej o to, by i pan Porucznik w czasie swego krótkiego pobytu w Sopotach, skoro po nią przyjedzie, zobaczył co ciekawsze, widzenia godne rzeczy. Dlatego radzi mu:

„Przyjedź kochany Frąsinku kilka dni przed wyjazdem moim, żebyś mógł niektóre ładne miejsca zwiedzić i w Gdańsku kilka dni zabawić, aby Okręta obejrzeć, których teraz kilka bardzo pięknych przybyło". (List z 8.VIII).

VIII

W tym samym liście opisuje pani porucznikowa wycieczkę swoją na Hel, tak odmienną w stylu od dzisiejszych wycieczek, przytem urozmaiconą wypadkiem jednej z uczestniczek, wreszcie tak barwnie, choć krótko opowiedzianą, że stanowi ona godne zamknięcie jej korespondencji. Oto ten opis:

„Dnia wczorajszego robiliśmy partyją na morzu Statkiem parowym, który najęty z Gdańska do Zoppot przybył i pozabierał nas na wyspę Helę 4 mile z Zoppot. Byłaby się ta partyja jaknajmilej udała, bo morze było spokojne i towarzystwo na statku bardzo dobrane, Śniadanie, które zaraz i za obiad służyło było urządzone z przepychem, wina wszystkiego gatunku było lej rozlej, ale to ma być kosztem także wszystkich Panów, którzy tam byli. Damy tylko do żadnych kosztów nie należały. Przy wysiadaniu z Statku łodziami do brzegu my dojeżdżali, wysiadać było bardzo niedobrze. Pani P. wysiadszy, kiedyśmy już do Zoppot wrócili, wpadła w morze i już prawie że była utopioną, ale kilku panów wyratowało jej życie. Przestrachu mego nie jesteś w stanie sobie kochany Frąsiu wystawić. Ja stałam przy niej, kiedy noga jej się pośliznęła i wpadła w morze. Wydawało mi się, że i ja się muszę utopić. Wsiadszy więc na łódź krzyczałam przeraźliwie. Pani P. pomimo tego wypadku zdrowa i wcale nie czuje się najmniej słabą".

ROMAN PETELENZ-ŁUKASIEWICZ

Poza Jastrzębią Górą brzeg zniża się i przybiera charakter zbliżony do mierzei helskiej. Występują tu znowu wysokie wydmy piaszczyste, gorliwie zalesiane i zasiewane twardemi trawami oraz ostem „mikołajkiem“. Na przestrzeni kilometrowej władze polskie umocniły brzeg potężną barjerą betonową. Cisza tu i pustka, tylko ptactwo i fale morskie ożywiają tę piękną, ogromną plażę o piasku czystym, bez kamieni i wodorostów. Takie też pomyślne warunki plażowe posiada duża wieś Karwia, pięknie zadrzewiona i położona przy lesie sosnowym, miejscowość najliczniej nawiedzana nad Wielkiem Morzem.

Jeszcze kilka kilometrów dalej i oto jesteśmy u ujścia Piaśnicy, rzeczki stanowiącej granicę pomiędzy Polską a Niemcami. Mówi o tem widniejący zdala słup graniczny z napisem „Versailles 1919“. Nad brzegiem Piaśnicy nieduża wieś Dąbek jest ostatniem letniskiem polskiem nad morzem. Wdali widnieją wieże Żarnowca, a z jego Góry Zamkowej widać wsie polskie po stronie niemieckiej.

WŁADYSŁAW WOYDYNO

LITERATURA TURYSTYCZNA POLSKI

Na wstępie muszę zaznaczyć ogólnie, że współczesna literatura turystyczna Polski daleka jest naogół od doskonałości. Miałaby ona te znamiona, gdybyśmy, podobnie jak np. Niemcy, Włochy, Szwajcarja, Czechosłowacja, posiadali cały szereg dobrych przewodników w języku polskim i w językach obcych. Jeden z takich przewodników winienby objąć całą Polskę, inne poszczególne województwa, ważniejsze tereny turystyczne i większe miasta.

Szczegółowo wyliczać tytułów przewodników nie mam zamiaru, wskażę tylko źródła, gdzie tego rodzaju zestawienia można znaleźć. Bibljografja polskiej literatury turystycznej i krajoznawczej lat przedwojennych zestawiona jest najlepiej i najprzejrzyściej w *Bibljografji historji Polski* prof. Ludwika Finkla.

Najłatwiej dla publiczności dostępnem zestawieniem znajdujących sie obecnie w handlu przewodników turystycznych dotyczących Polski jest wydawany corocznie przez Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego *Informator o szkolnych schroniskach wycieczkowych*. Wydanie z 1935 r. (skład główny Książnica Atlas, cena 1.50 zł) podaje bibljografję tę ugrupowaną według województw z podaniem przy większości tytułów, dla orjentacji czytelników, również ilości stron i ceny przewodnika.

Wiele bardzo cennego materjału informacyjnego zawierają też liczne monografje poszczególnych miejscowości, okolic, powiatów, województw i t. p. Cytowanie tytułów tych monografij wykracza jednakże zupełnie poza ramy niniejszego artykułu. Pod względem artystycznej formy wyróżnia się wśród naszych monografij krajoznawczych piękny cykl wydawnictw księgarni Wegnera w Poznaniu p. t. *Cuda Polski*: pojawiły się dotychczas wspaniale ilustrowane monografie Warszawy (Al. Janowskiego), Lwowa (St. Wasylewskiego), Śląska (G. Morcinka), Morza i Pomorza (prof. J. Smoleńskiego), Polesia (F Ossendowskiego), Wilna (J. Remera) i Tatr (R Malczewskiego).

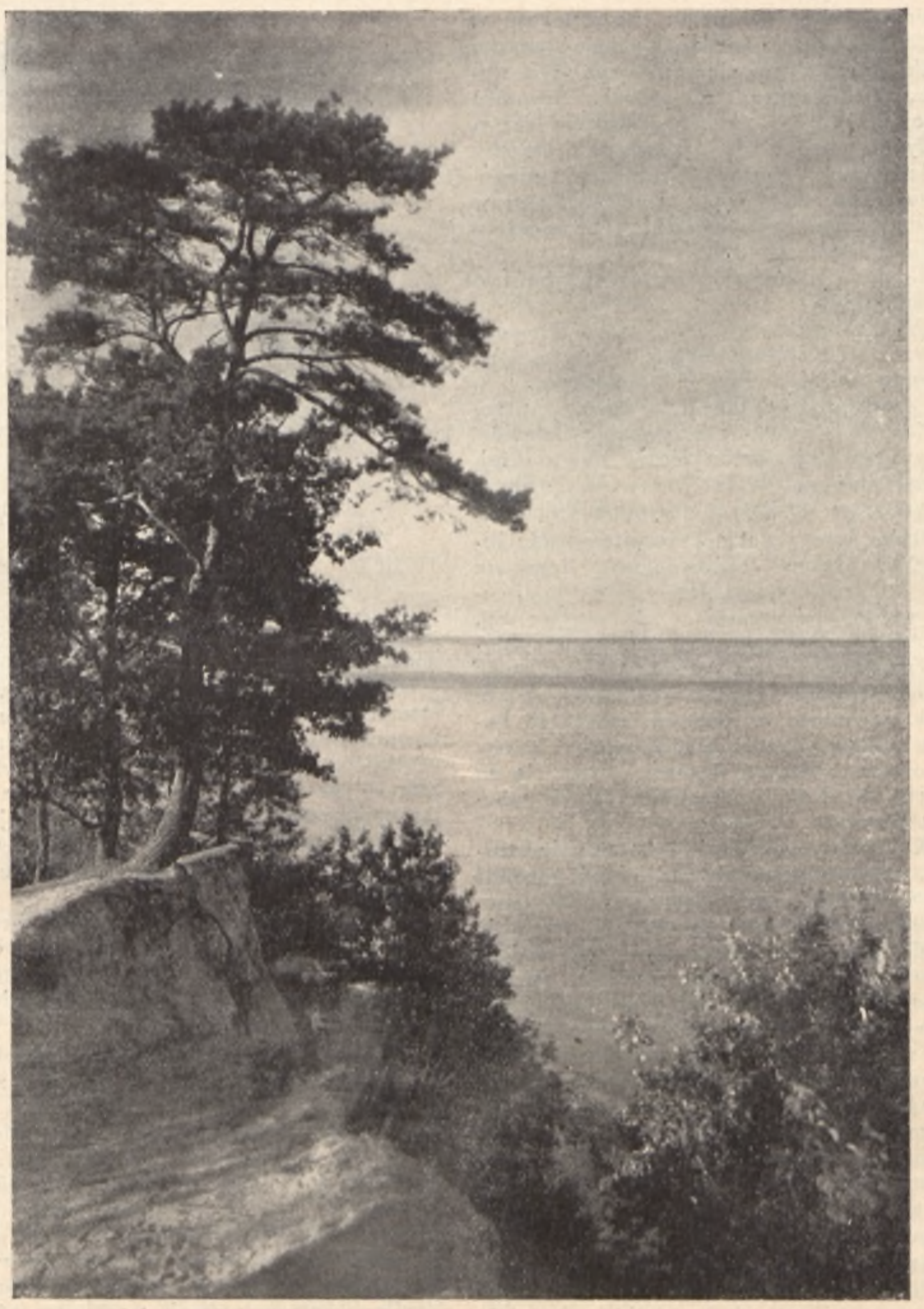
Z czasopism perjodycznych wydawanych przez towarzystwa turystyczne i krajoznawcze najbogatszy materjał krajoznawczy zawierają piękne i nader ciekawe roczniki *Ziemi*, organu Pol. Tow. Krajoznawczego, oraz *Wierchy*, roczniki Pol. Tow. Tatrzańskiego.

Przechodzac do przeglądu najważniejszych dzieł z polskiej literatury turystycznej lat ostatnich, zaznaczę, że dotychczas nie powiodły się usiłowania, aby z przewodników turystycznych stworzyć cykl przewodników o jednakowym wyglądzie i układzie, jakich sporo istnieje zagranicą (np. przewodników Baedeckera, Griebena, Guide Bleu i t. p.) Inicjatywa stworzenia tego rodzaju cyklów była podejmowana dwukrotnie. W latach 1920 — 24 nakładem Książnicy Atlasu wyszło kilkanaście tomów przewodników opracowanych przez podpisanego, ujętych w cykl *Polska Bibljoteka Turystyczna*. W latach 1927 — 1933 analogiczną inicjatywe podjęło Pol. Tow. Krajoznawcze, które wydało 13 tomów przewodników w cyklu *Bibljoteczka Wycieczkowa*. Pozatem przewodniki turystyczne wydawane są przez rozmaite władze państwowe (np. Min. Robót Publicznych, Min. Komunikacji, urzędy wojewódzkie), towarzystwa turystyczne i krajoznawcze, księgarnie nakładowe, autorów, wreszcie przez akwizytorów anonsów, a ich układ, wygląd, format i wartość są bardzo niejednolite.

Przechodząc do szczegółów, rozpoczynam od ogólnych p r z e w o d n i k ó w p o P o l s c e.

Zaznaczam, że właściwie dotychczas poza wydanym w 1914 r. w treści przestarzałym i całkowicie wyczerpanym podpisanego *Przewodnikiem po ziemiach dawnej Polski, Litwy i Rusi*, — przewodnika turystycznego, obejmującego całą Polskę w języku polskim, dotychczas niema.

Ministerstwo Komunikacji w 1926 r., z inicjatywy ówczesnego ministra inż. Kazimierza Tyszki, rozpoczęło wydawanie *Ilustrowanego Przewodnika Kolejowego po Polsce*, który w 4 tomach miał objąć całą Polskę Wyszedł dotychczas tylko tom I, obejmujący Polskę południowo-zachodnią, kolejno w językach polskim, francuskim i niemieckim w latach 1926 — 28, oraz II, obejmujący Polskę północno-zachodnią, wydany w tych samych językach w latach 1930—32. Teksty obydwuch tomów opracował podpisany. W niektórych językach jest już każdy z tych tomów wyczerpany, w tych zaś, które jeszcze pozostały, można go nabyć w oddziałach „Orbisu“ lub w księgarniach „Ruchu“. Przewodnik ten, wydany bardzo estetycznie w barwnych okładkach, z ładnemi i doskonale wykonanemi w zakładach graficznych „Bibljoteki Polskiej“ w Bydgoszczy ilustracjami, — jest po części wydawnictwem propagandowem, w mniejszym stopniu informacyjnem, gdyż na każde z opisywanych w częściach już wydanych województw wypadło zaledwie po 20 stron tekstu, co zmusiło do bardzo lakonicznych opisów i opuszczenia wielu podrzędniejszych miejscowości.



REDŁOWO Fot. Henryk Poddębski

Związek Polskich Towarzystw Turystycznych podjął w 1932 r prace wstępne dla wydania Przewodnika po Polsce zakrojonego na 4 tomy. Po trzyletniem przygotowaniu, wyszedł w lipcu 1935 r. tom I tego wydawnictwa, obejmujący Polskę północno - wschodnią (str 176, 16 map, i 4 plany miast). Jest to praca zbiorowa pod redakcją Stanisława Lenartowicza, przy udziale 18 autorów i autorek. Przewodnik, ułożony systemem linij komunikacyjnych, wzorowany jest na przewodnikach zagranicznych pod względem formatu, układu i wyglądu. Wykazuje on mimo wielu zalet pewne braki, wynikające z opracowania poszczególnych ustępów przez różnych autorów. Obok ustępów pierwszorzędnych w innych widać wiele niedociągnięć i błędów, pozatem istnieje tam duża dysproporcja opisów osobliwości turystycznych i zabytków rozmaitych miejscowości i okolic

Ze specjalnych działów turystyki posiada turystyka motorowa specjalny przewodnik, wydany w 1932 r. przez Automobilklub Polski, z subwencją Ministerstwa Robót Publicznych. Jest to *Przewodnik Automobilowy po Polsce*, opracowany przez podpisanego (część opisowa) oraz przez inż. Rogera Morsztyna (część techniczna). Przewodnik, najwytworniejszy z wszystkich, jakie posiadamy w naszej literaturze turystycznej, przedstawia się jako okazała książka bogato ilustrowana, o 205 stronach tekstu, z 31 mapami, oprawna w płótno bronzowego koloru.

Turystyka wodna otrzymała swój przewodnik dopiero w 1932 r. Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej wyszedł wówczas oficjalny przewodnik Polskiego Związku Kajakowego, pióra Antoniego Heinricha p. t.: *Szlaki wodne Polski* (str. 361). Wreszcie w 1934 r. wyszedł przewodnik lotniczy po linjach obsługiwanych przez P. L. L. Lot, z mapami tych linij i tekstem opracowanym przez podpisanego.

Istnieją też osobne p r z e w o d n i k i d l a n a r c i a r z y, a to po Tatrach Zwolińskiego, po Beskidach Zachodnich Midowicza. W 1934 Polski Związek Narciarski powziął postanowienie wydania w sześciu tomach przewodnika narciarskiego po całych Karpatach. Narazie wyszedł w opracowaniu prof. Zygmunta Klemensiewicza tom III poświęcony Bieszczadom.

Dość bogata, ale niezawsze na wysokości zadania stojąca jest literatura przewodnikowo-informacyjna, dotycząca *uzdrowisk* Polski. Niestety w tej dziedzinie dominuje scharakteryzowana wyżej literatura akwizycyjna, uzależniająca tekst i zawarte w nim pochwały od anonsów. Często też jako wydawcy przewodników po uzdrowiskach figurują instytucje, po których zainteresowania się działem właśnie turystyki najmniej możnaby się spodziewać, jak np. „Zjednoczenie Pracowników Niewidomych Rzeczypospolitej Polskiej“. Wśród lepszych przewodników w uzdrowiskach należy wymienić przewodnik *Zdrojowiska i uzdrowiska polskie*, który wychodził corocznie w latach 1925 — 28 pod patronatem Generalnej Dyrekcji Służby Zdrowia, Czesława Rokickiego *Przewodnik po uzdrowiskach i letniskach polskich* (wyd. IV 1930 r. 240 stron), oraz *Przewodnik po uzdrowiskach południowej Polski* Kazimierza Tobiczyka (tom I, 1932).

Środkiem pomocniczym, ale bardzo cennym w dziedzinie literatury turystycznej całej Polski są skorowidze hotelarskie. Pierwszy tego rodzaju skorowidz p. t. *Skorowidz hotelowy Rzeczypospolitej Polskiej* wyszedł w Krakowie w 1928 r. nakładem Tow. Wyd. „Znicz“ (str. 141), następne zostały wydane w latach 1930 i 1934 nakładem Naczelnej Organizacji Hotelarskiej.

Z nielicznemi wyjątkami każde w o j e w ó d z t w o ma jakiś przewodnik, ale tylko może połowa tych przewodników ma jeszcze treść aktualną, pozostałe zaś są już przestarzałe. Przegląd rozpoczynam od zachodu. Województwo pomorskie ma przewodnik podpisanego z 1924 r., najobszerniejszy wśród przewodników po województwach (str. 572). Woj. poznańskie ma przewodnik opracowany przez podpisanego, wydany w 1920 r. (str. 176), woj, śląskie tegoż przewodnik z 1924 r. (str. 192), obydwa już przeważnie przestarzałe. Przestarzały jest również bardzo dobry w układzie i treści przewodnik St. Thugutta z 1917 r. po byłej gubernji kieleckiej i radomskiej, t. j. po obecnym woj. kieleckiem.

Do nowszych należą: *Przewodnik po woj. tarnopolskiem* wydany w 1928 r. przez Podolskie Tow. Tur. Krajoznawcze w Tarnopolu (praca zbiorowa pod redakcją Tomasza Kunzcka), *Przewodnik po woj. warszawskiem*, praca zbiorowa z 1932 r., *Przewodnik Ilustrowany po woj. stanisławowskiem* inż. Romualda Dąbrowskiego (Stanisławów 1930 r. str. 180), podpisanego *Ilustrowany przewodnik po Wołyniu* (Łuck 1929, str. 380), inż. Józefa Żmigrodzkiego *Nowogródek i okolice*, przewodnik obejmujący całe województwo (wydanie trzecie 1931), St. Lorentza *Wycieczki po woj. wileńskiem* (Wilno 1932), wreszcie Henryka Marczaka *Przewodnik po Polesiu* (Brześć nad Bugiem 1935 r.). Województwa łódzkie, lubelskie i białostockie przewodników dotychczas nie mają. Dla terenów województw lwowskiego i krakowskiego jest jedynym przewodnikiem, jak dotychczas, przedwojenny *Ilustrowany Przewodnik po Galicji* opracowany przez podpisanego w 1914 r.

Wartość tych przewodników jest bardzo rozmaita, podobnie też szczegółowość opisów. Jedne są bardziej szczegółowe, inne zupełnie powierzchowne lub pełne błędów. W układzie duża rozmaitość. Większość, w szczególności przewodniki podpisanego, St. Thugutta i H. Marczaka, — mają układ wzdłuż szlaków komunikacyjnych, t. zw. baedeckerowskich, inne według powiatów (np. woj. tarnopolskie), według rodzaju turystyki (woj. stanisławowskie) lub według abecadłowego spisu miejscowego (woj. warszawskie).

Odsyłając po szczegóły do bibljografji literatury turystycznej, zawartej w *Informatorze o szkolnych schroniskach wycieczkowych*, ograniczę się do wymienienia przewodników po największych miastach polskich. Kończy się druk *Przewodnika po Warszawie* (praca zbiorowa pod red. Reginy Fleszarowej), który ma wyjść w sierpniu r. b. nakładem Pol. Tow. Krajoznawczego. Najlepszym *Przewodnikiem po Krakowie* jest wydany w 1930 r przez Tow. Miłośników Krakowa przewodnik K. Estreichera (str. 286). Bardzo dobry jest *Przewodnik po Poznaniu* prof. Kilarskiego z 1929 r. (Książnica - Atlas str. 95). Wilno ma doskonały *Przewodnik po Wilnie* prof. Juljusza Kłosa (nakład Pol. Tow. Krajoznawczego, wyd. II 1928, str. 261). Po Lwowie najobszerniejszym przewodnikiem jest cokolwiek przestarzały w treści podpisanego *Przewodnik po Lwowie* z 1924 r. (str. 284).

Także wiele mniejszych miast prowincjonalnych posiada swe własne przewodniki. Do najlepszych wśród nich należą: *Ilustrowany Przewodnik po Lublinie* z 1931 r., praca zbiorowa miejscowego oddziału Pol. Tow. Krajoznawczego, Józefa Jodkowskiego *Grodno* (1923), Marji Maciejszyny *Przewodnik po Płocku*, oraz Marji Szachówny *Przewodnik po Kaliszu* z 1927 r.

O przewodnikach po Tatrach i Beskidach Zachodnich wspomniałem w swoim poprzednim artykule. Po Beskidach Wschodnich istnieje bardzo obszerny *Przewodnik po Karpatach Wschodnich* Henryka Gąsiorowskiego, w dwuch tomach, z których tom I (1935 r.) obejmuje Bieszczady i Gorgany, tom II (1935) Czarnohorę i Huculszczyznę.

Z innych interesujących okolic *Gdynia* i *Wybrzeże* posiadają szereg przewodników z lat ostatnich, pojawiających się niemal corocznie w nowych wydaniach staraniem Gdyńskiego Związku Propagandy Turystycznej. Najobszerniejszym jest Bolesława Koselnika *Przewodnik po Gdyni, Wybrzeżu i Szwajcarji Kaszubskiej* z 1931 r. Wzmożone zainteresowanie się pewnemi okolicami spowodowało wydanie przez Pol. Tow. Krajoznawcze drugich wydań Tadeusza Dybczyńskiego *Przewodnika po Łysogórach* .(Warszawa 1924, str. 228), oraz Aleksandra Maykowskiego *Przewodnika po Szwajcarji Kaszubskiej* (Warszawa 1924 r. str. 112). Zwiedzenie Ziemi Kurpiów ułatwia Adama Chętnika *Krótki przewodnik po Kurpiach* z 1932 r. *Puszcza Białowieska*, która przez szereg lat nie posiadała żadnych przewodników turystycznych, otrzymała ostatnio kilka dobrych przewodników, opracowanych przez dyrektora Parku Narodowego inż. Jana Karpińskiego (1930 nakład Dyrekcji Lasów Państwowych) oraz przez Jana Kloskę (Pol. Tow. Krajoznawcze 1933 r.).

Wydawanie literatury turystycznej, dotyczącej Polski, w j ę z y k a c h o b c y c h rozpoczęło się na wielką skalę dopiero od 1925 r., kiedy poprawiły się stosunki komunikacyjne, hotelarskie i walutowe w Polsce. Od tego czasu został wydany zarówno cały szereg przewodników turystycznych jak i broszur informacyjnych i propagandowych: pierwsze są przeznaczone do rozprzedaży, drugie do bezpłatnego rozdawania. Z władz państwowych czynne były w dziedzinie wydawania przewodników Min. Robót Publicznych oraz Komunikacji.

Jedynym przewodnikiem po całej Polsce, wydanym w języku obcym dla użytku zagranicznych turystów, jest podpisanego *Guide Illustré de la Pologne* wydany w 1927 r., nakładem Min. Robót Publicznych. Jest to spora książka o blisko 300 stronach druku petitem, ozdobiona stukilkudziesięciu ilustracjami, oprawna w czerwone płótno i posiadająca mapę Polski.

W druku znajduje się przewodnik po Polsce w języku francuskim, który ma wyjść w cyklu *Guide Bleu* (praca zbiorowa), w przygotowaniu przewodnik po Polsce w języku niemieckim, którego brak zagranicznym turystom daje się najbardziej odczuwać; ma on wyjść w cyklu przewodników turystycznej berlińskiej firmy Grieben.

Wydawnictwo przewodników turystycznych nie jest w Polsce bynajmniej dobrym interesem, to też rozchodzą się one w nieporównanie mniejszych nakładach i o wiele wolniej, niż to ma miejsce np. w Czechosłowacji. Przyczyną tego jest nietylko niechęć publiczności do korzystania z drukowanych przewodników, ale również negatywne ustosunkowanie się księgarń do wydawnictw turystycznych. Naogół w naszych księgarniach prowincjonalnych, a nierzadko i stołecznych, przewodników turystycznych dostać nie można, a personel księgarski udziela publiczności niejednokrotnie nieprawdziwych wiadomości, że dany przewodnik jest wyczerpany, podczas gdy u nakładców leżą jeszcze tysiące egzemplarzy przewodnika. Należy zatem zanotować sobie z bibljografji nietylko tytuł przewodnika i nazwisko autora, ale również firmę wydawców, aby w razie potrzeby można się o jego nadesłanie zwrócić do niej listownie. Względnie najbogaciej w przewodniki turystyczne z księgarń warszawskich jest zaopatrzona Księgarnia „Książnica-Atlas“ Nowy Świat 59. Pozatem w biurze Pol. Tow. Krajoznawczego (Nowy Świat 19) zorganizowano komisową sprzedaż przewodników turystycznych z całej Polski.

MIECZYSŁAW ORŁOWICZ.

SZTUKA I ANTENA

LIGA NARODÓW A RADJOFONJA SZKOLNA

Rozważania p. J. Ostrowskiego na temat radjofonji szkolnej, zamieszczone w Nr. 21 *Pionu* i zawierające cały szereg bardzo trafnych spostrzeżeń i sygestyj, świadczących o dużem doświadczeniu pedagogicznem autora, nasunęły mi myśl, że może nie od rzeczy będzie poinformować czytelników *Pionu* o działalności na tem polu Ligi Narodów, a mianowicie organizacji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej. Instytut Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej w Paryżu, będący organem wykonawczym wspomnianej organizacji, dokonał na polu radjofonji szkolnej całego szeregu badań i studjów, które, mam wrażenie, nie są jeszcze dostatecznie znane szerszej publiczności.

W wykonaniu odnośnej uchwały Zgromadzenia Ligi Narodów, Instytut zebrał, przy pomocy Międzynarodowej Unji Radjofonicznej, bardzo pokaźny materjał dokumentacyjny, dotyczący tego, co w całym szeregu państw zostało dotąd przedsięwzięte w dziedzinie szkolnej radjofonji. Materjał ten zebrany i ogłoszony w osobnej publikacji zatytułowanej *La radiodiffusion scolaire* posłuży Instytutowi za podstawę do zasięgnięcia opinji ośrodków pedagogicznych w najważniejszych krajach co do możliwości ujednostajnienia metod stosowania radja przy nauczaniu w szkołach. Nie została również zapomniana i strona techniczna tego zagadnienia: wybór najwłaściwszych odbiorników, określenie najodpowiedniejszej długości fali, podział godzin, akustyka sal szkolnych i t. p., oto kwestje, których badaniem zajmie się Instytut w najbliższej przyszłości, współpracując z Unją radjofoniczną.

Materjał zebrany przez Instytut pochodzi z dwudziestu pięciu krajów i dotyczy szkolnictwa powszechnego, średniego i wyższego. Elaboraty poszczególnych krajów pochodzą od najwybitniejszych pedagogów oraz organizatorów audycyj szkolnych. Publikacja Instytutu uwypukla zasady, dające się ustalić po przestudjowaniu całego tego materjału i przedstawiające opinję większości pedagogów, pośród których nie brak oczywiście i głosu Polski.

Wszyscy oni są przedewszystkiem zgodni co do założenia, że nauczanie radjofoniczne nie może grać innej roli, jak posiłkową. Nie należy go zatem stosować przy wykonywaniu normalnego programu szkolnego, którego istota znajduje się w podręcznikach szkolnych. W tej dziedzinie radjofonja nie może zastąpić nauczyciela w jego bezpośredniem oddziaływaniu na ucznia. Winna ona być raczej źródłem dodatkowych informacyj, pozwalać uczniom na korzystanie z wykładów wybitnych specjalistów, budzić w ich umyśle należycie zrozumianą ciekawość, ułatwiać im kontakt duchowy z jednostkami wybitnemi. A więc nauczanie radjofoniczne stosować należałoby tam, gdzie nauczyciel nie może sprostać sam wszystkim swym zadaniom, przedewszystkiem więc po wsiach i w szkołach, oddalonych od ośrodków życia umysłowego. Radjofonja zneutralizuje tu do pewnego stopnia odosobnienie nauczyciela i uczniów, wprowadzi więcej urozmaicenia w programy szkolne, doda nowego impulsu do pracy jednym i drugim.

Co się tyczy przedmiotu nauczania radjofonicznego, to nadaje się doń w pierwszym rzędzie nauka muzyki, literatury, języków żyjących, historji i geografji, historji sztuki, historji naturalnej i higjeny, anatomji i fizjologji, etyki i nauki o państwowości, nauk technicznych i zawodowych. Uzupełnieniem byłyby reportaże radjowe i komentarze ważniejszych wydarzeń dnia.

Wartość pedagogiczna radjofonicznego nauczania wspomnianych przedmiotów zależy jednak w znacznej mierze od sposobu podania słuchaczom. Nauczanie to, jako czysto słuchowe, może bowiem bardzo łatwo powodować znużenie ucznia lub też prowadzić do rozproszenia uwagi. Brak mu czynników wzrokowych i należy szukać innych sposobów, które przemawiają do wyobraźni. Dany przedmiot winien być podany w sposób żywy, obrazowy. Zamiast dawać uczniowi odczyt o ludziach lub rzeczach, należy dążyć do tego, by stworzyć kontakt bezpośredni z rzeczywistością, pozwolić przemawiać samymże faktom lub ideom. To też wygłaszanie przed mikrofonem zwykłej lekcji lub odczytu znudzi ucznia, zmęczy go i nie zdoła wyprowadzić z pasywnego li tylko słuchania. Konferencje nadają się raczej dla dorosłych, lub też w tych rzadkich wypadkach, gdzie wygłaszający może mówić o wypadkach, w których sam brał udział, dzielić się wrażeniami z podróży i t. p. O wiele odpowiedniejszą wydaje się forma pogadanki, swobodniejsza i mniej opracowana, pozwalająca specjaliście danego przedmiotu gawędzić bezpretensjonalnie, ba nawet urozmaicać swe słowa muzyką lub deklamacją. Wychodząc z założenia, że myśli i fakty winny być podawane przez mikrofon w sposób możliwie żywy i bezpośredni, wszyscy pedagogowie godzą się na to, że najlepszym sposobem radjofonicznego nauczania pozostanie zawsze forma dialogu lub nawet, tam gdzie to możliwe i wskazane, dramatyzacji. Dialog taki nie może być jednak tylko prostą wymianą pytań i odpowiedzi. Powinien on przybrać raczej postać dydaktycznej dyskusji lub debaty, a konkluzja wypływać sama przez się z przeciwstawienia odmiennych zapatrywań. Doświadczenie uczy, jak trudno jest często uczniom samym znaleźć temat odpowiedzi do dyskusji. Angielska B. B. C. przedsięwzięła ciekawe próby, by zaradzić tej trudności. Polegają one na t. zw. niedokończonych dyskusjach. Mówca otwiera przed mikrofonem dyskusję, wypowiadając swój punkt widzenia w danej sprawie. Ktoś inny odpowiada mu, poczem transmisja zostaje przerwaną, na to, by uczniowie mogli dyskutować dalej między sobą lub też postąpić w sposób, który zostanie im zalecony.

Dramatyzacja wykładu nadaje się szczególnie do lekcji historji lub geografji. Tak np. można uzmysłowić odkrycie bieguna północnego, każąc opowiadać je rzekomym odkrywcom. Również i nauki ściśle mogłyby korzystać z podobnego sposobu nauczania, pozwalając np. uczniom uczestniczyć przy odkryciu przez Roentgena promieni X lub być świadkami pewnych zjawisk natury.

Dużą rolę może też grać przy radjofonicznem nauczaniu reportaż wychowawczy, umożliwiający uczniom wejście w bezpośredni kontakt z ważniejszemi wydarzeniami ekonomicznemi, społecznemi lub politycznemi. Niektórzy z wychowawców przyznają wprost reportażowi najważniejszą rolę przy nauczaniu radjofonicznem. Jest w tem sporo słuszności, jeśli się weźmie pod uwagę nietyle sam reportaż, ile zasady, które winny mu przyświecać.

Ustaliwszy najwłaściwsze sposoby nauczania radjofonicznego, eksperci zapytywani przez Instytut Międz. Współpracy Umysłowej zajmowali się z kolei kwestją stosowania tych metod do różnych przedmiotów nauczania, które wymieniliśmy powyżej.

W dziedzinie *muzyki* należy starać się przedewszystkiem o wykształcenie u uczniów poczucia muzykalnego, a to przez rozwijanie zrozumienia istoty rytmiki i melodji, jako naturalnego sposobu wyrażania uczuć ludzkich. W skład transmisyj koncertowych powinny wchodzić melodje jaknajprostsze, zapożyczone z dzieł wielkich mistrzów. Powinno się powtarzać je kilkakrotnie, tak, aby uczniowie mogli zapoznać się z niemi najdokładniej. W tym celu nauczyciel zaopatrzy się w płyty gramofonowe, odtwarzające najważniejsze ustępy odnośnych utworów i zagra je przed i po audycji. Podobnie zaleca się umożliwić uczniom wysłuchanie płyt, oddających grę poszczególnych instrumentów orkiestry, aby mogli zdać sobie sprawę z roli, jaką każdy z tych instrumentów zajmuje w orkiestrze. Zrozumienie danego utworu muzycznego ułatwi dalej pogadanka o życiu kompozytora, o ideałach, do których dążył, o właściwych mu sposobach wyrażania pewnych uczuć i t. p.

Przy nauczaniu *literatury* dnże usługi może oddać wykład wybitnego pisarza, szkicujący w głównych zarysach rozwój pewnej dziedziny literatury, dający analizę ważniejszych dzieł, zwracający uwagę na ich piękno, wykazujący ich wpływ na literaturę własną lub obcą. Radjofonja pozwala dalej na zaprezentowanie uczniom pewnych ustępów dzieł wielkich mistrzów pióra, w pierwszorzędnej interpretacji. Doświadczenie wykazało, że zapoznanie się z pewnemi ustępami dzieła zachęca uczniów do przeczytania go w całości, że zamiast szkodzić literaturze, zachęca do niej. Również i wybitny krytyk mógłby tłumaczyć uczniom przyczyny, dla których pewne dzieło posiada większe walory literackie niż inne, pośredniczyć w zrozumieniu tych walorów. Należy jednak wystrzegać się, by uczeń nie odniósł wrażenia, że chce się mu narzucić czy to pewien sąd, czy też pewien rodzaj lektury.

Lekcje *języków żyjących* przez radjo mogą przy pomocy ćwiczeń konwersacji wzbogacać zasób słów, przyswajać uczniom zasady konstrukcji, wymowy i rytmu właściwych danemu językowi, a wszystko to o wiele łatwiej i szybciej niż słownik lub nauka gramatyki. Przy nauczaniu powszechnem metoda taka powinna być stosowana do języka ojczystego, w szkolnictwie średniem zaś do nauki języków obcych. Nauczyciel obcy, znający jednak dobrze mentalność uczniów, może udzielać nauki całkowicie w języku obcym, przyzwyczajając ich do wymowy i zwrotów oraz kształcąc słuch uczniów. Jeżeli program każdej lekcji będzie znany zgóry, nauczyciel w klasie będzie mógł uczniom pomagać, każąc im powtarzać kilkakrotnie usłyszane zdania, lub też wypisując na tablicy trudniejsze wyrazy. Dla urozmaicenia lekcji możnaby wprowadzić odśpiewywanie chórem pieśni ludowych danego kraju. Pozatem dałyby się urządzać dialogi przed mikrofonem obcego nauczyciela z krajowym, który zdając sobie sprawę z pewnych trudności, na jakie napotyka uczeń, prosiłby o ich wyjaśnienie, dając tem samem uczniowi złudzenie, że bierze sam udział w konwersacji. Nauczanie języków przez mikrofon posiada tę wyższość nad posługiwaniem się płytą gramofonową, że jest żywem i urozmaiconem, że pozwala uczniowi zapoznać się z naturalnym, spontanicznym sposobem wyrażania się osobników, należących do obcego narodu.

Nauczanie przez radjo *historji* otwiera znów duże możliwości w kierunku uzmysławiania i rekonstytuowania wypadków i idei, przez podawanie ich w formie udramatyzowanej. Sposób ten jest stosowany szeroko w krajach kultury niemieckiej i anglo-saskiej, podczas gdy kraje łacińskie lubują się raczej w posługiwaniu się czynnikiem anegdotycznym.

W dziedzinie *geografji* radjofonja oddać może, jak już wspomnieliśmy, duże usługi przez transmitowanie przedewszystkiem opisów podróży opowiadanych przez samychże podróżników, co przedstawi uczniowi geografję w nowem, szczególnie pociągającem świetle. Pozatem byłyby tu możliwe pogadanki o warunkach fizycznych, ekonomicznych, politycznych i społecznych danego kraju, wygłaszane przez specjalistów.

Inną jest sytuacja w dziedzinie *nauk ścisłych*. Tutaj radjofonja nie może zastąpić całego szeregu środków naukowych, przemawiających do innych zmysłów niż słuch, a więc demonstracji na tablicy, ćwiczeń laboratoryjnych i t. p. Można tu dawać jedynie pogadanki wybitnych uczonych o pewnych zagadnieniach ogólniejszych, opowiadania o życiu i dziełach wielkich uczonych, urozmaicane odczytywaniem ustępów z ich dzieł, relacje o dziejach wielkich odkryć i t. d.

Co się tyczy dostosowania kursów radjofonicznych do programu szkolnego, to wszyscy fachowcy godzą się oczywiście na to, że temat tych kursów winien być ustalany w ścisłem porozumieniu z władzami szkolnemi, a rzeczą każdego nauczyciela będzie wybrać z pośród ustalonego w ten sposób programu to, co jego zdaniem jest najbardziej odpowiednie dla danej klasy. W tym celu nauczyciele powinni być informowani zawczasu, za pośrednictwem osobnego biuletynu, o programie przyszłych transmisyj, o charakterze przedmiotu i kategorji uczniów, dla których odnośne kursy są przeznaczone. Większość ekspertów wypowiedziała się przeciw urządzaniu odczytów seryjnych, co zmuszałoby uczniów do wysłuchiwania kompletu tych odczytów; każdy z nich powinien raczej stanowić w sobie zamkniętą całość, nie przeszkadzając oczywiście wiązaniu ich między sobą w pewną logiczną całość.

Odczyty nie powinny trwać dłużej jak pół godziny, a najlepszą porą dla takich transmisyj byłby koniec nauki szkolnej, czyto rannej, czy też południowej.

Wygłaszanie kursów radjofonicznych należy powierzać pedagogom, obznajmionym należycie z techniką radjofonji i posiadającym już pewną praktykę pod tym względem. Wskazanem jest utrwalenie na płycie pierwszej lekcji i transmitowanie jej w szkole, w obecności wykładowcy, tak by mógł sam zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie lekcja ta sprawi na uczniach, i w miarę potrzeby dokonać zmian. Wykładowca, który umie zająć słuchaczy i udzielić im swego entuzjazmu, będzie właściwszym od suchego i zbyt metodycznego uczonego.

Nauka radjofoniczna powinna polegać na ścisłej współpracy nauczyciela z wykładowcą, przemawiającym przez mikrofon; przed transmisją przygotuje on swych uczniów należycie na jej wysłuchanie, a podczas samejże transmisji może on zachęcać uczniów do dawania odpowiedzi, których zażądałby wykładowca, do powtarzania pewnych zwrotów lub słów. W miarę potrzeby nauczyciel wypisze na tablicy trudniejsze słowa lub też udzieli wyjaśnień przy pomocy materjału ilustracyjnego, który przygotuje uprzednio w tym celu.

Wreszcie wydaje się wskazanem, by nauczyciel przypominał uczniom, to, czego nauczyli się z okazji transmisji.

Wszyscy eksperci podkreślają też doniosłość stworzenia osobnych ośrodków nauczania i badań, których zadaniem byłoby opracowywanie programów, należyte ich przygotowanie, wydawnictwo specjalnych biuletynów, oraz stworzenia współpracy między instytucjami nadawczemi a administracją szkolną, tak jak to się dzieje w Anglji i w Niemczech. Tego rodzaju ośrodki, grupujące profesorów i nauczycieli zakładów szkolnych oraz delegatów instytucyj nadawczych, umożliwią scentralizowanie i wymianę rezultatów poczynionych doświadczeń, pozwolą na dokonywanie metodycznych badań. Wszyscy też eksperci uznają stworzenie takich ośrodków za niezbędny warunek powodzenia całej akcji.

Powyższe uwagi mogą oczywiście w bardzo tylko pobieżny sposób zdać sprawę z bogatej w sugestje i propozycje treści wspomnianej na wstępie publikacji. Wystarczy, jeżeli zachęcą osoby interesujące się temi zagadnieniami do zapoznania się z samemże dziełem.

MARJAN HENZEL

Paryż.

Nowa książka o Litwie

EUGENJUSZ M. SCHUMMER - SZERMENTOWSKI: *Pod znakiem Pogoni*. Książnica-Atlas. 1935.

Dzięki swojemu uporowi i, co zatem idzie, zamknięciu granic od strony Polski, stała się Litwa krajem niemal że egzotycznym. Łatwiej jest osiągnąć Marokko czy też Indje niż odległą o kilka godzin od Wilna stolicę państwa litewskiego. Izolacja ta, trwająca już lat przeszło piętnaście, odbija się, rzecz naturalna, na naszej znajomości spraw litewskich. Przychodzą one do nas bowiem albo drogą okólną via Ryga, albo też w formie nieścisłej. Zdarza się również, że piszący o Litwie korespondenci nietylko nie znają jej języka i obyczajów, ale nie widzieli nigdy państwa gedyminowego... Stąd sprzeczności faktyczne, przeciwko którym strona przeciwna zaoponować niestety nie jest w możności. Tak czy inaczej, każda książka, pisana ze znajomością przedmiotu i oświetlająca w sposób mniej lub więcej ścisły obecny stan rzeczy na Litwie, może być uważana za pożyteczną. W ostatnich dniach ukazała się trzecia zkolei książka Eugenjusza Schummera, mająca na celu, „bez wygórowanych ambicyj“, jak wzmiankuje autor w przedmowie, obejrzenie Litwy z lotu ptaka, w miarę możności objektywnie i wyczerpująco. Przykładając do oceny dziełka p. Schummera miarę, którą on sam oznaczył na wstępie, odnosimy wrażenie, że książka powyższa jest raczej dla młodzieży, *respective* dla szerokich kół czytających, niż dla badaczów spraw litewskich w ściślejszem pojęciu. Świadczą o tem chociażby dwa pierwsze rozdziały książki, pełne prostoty w narracji, ozdobione wyjątkami z Wincentego Pola, a następnie i innych naszych poetów. Dalszy układ rozdziałów, przypominający mi nieco systematyczne cykle Villaincourta i Perreta, dotyczące innych państw sukcesyjnych, zawiera w sobie syntetycznie i dość ogólnikowo wszystko to, co warte jest wiadomości. Zwłaszcza rozdziały IV i V opracowane są źródłowo, dają one dużo materjału do poznania w skrócie Litwy przedwojennej. W ustroju Litwy współczesnej (rozdział VI) bieg wypadków politycznych (od r. 1918 do chwili obecnej) ujęty został, zdaniem mojem, zbyt pobieżnie; należało zarysować nieco plastyczniej przynajmniej dwie sylwety polityczne: Antoniego Smetony (należał mu się osobny rozdział) i—Waldemarasa. Te dwie postaci bowiem zawierają w sobie syntetycznie rozwój wypadków politycznych w Litwie od zarania jej niepodległości do chwili obecnej. Obszernie potraktowane życie kulturalno-artystyczne Litwy należy do najlepszych fragmentów książki. Szkoda jedynie, że autor skrzywdził połowę działalności Mikołaja Cziurlionisa, poświęcając jego, równoległej do malarstwa, bogatej działalności kompozytorskiej zaledwie parę wierszy. Jest to kwestja sporna, który z Cziurlionisów stoi wyżej: malarz-wizjoner, czy kompozytor muzyczny na miarę Skriabina lub Maxa Regera. Możnaby również omówić nieco bliżej sprawę morską, wspominając o dziejach Połągi, uczęszczanej nietylko przez tysiące rodaków naszych do roku wojny, ale i przez Mickiewicza, wspominającego o niej (w *Grażynie*), posiadającego w Połądze domek historyczny, w którym *illo tempore* zamieszkiwał.

Styl książki p. Schummera obrazowy, narracja interesująca, drobne niejasności (str. 84 w. 5 oraz str. 108 w. 27) winny być usunięte. Szesnaście podanych rycin daje nam częściowe pojęcie zwłaszcza o bogactwie folkloru litewskiego. Ton dziełka objektywny, co stanowi jedną z jego zalet od strony politycznej. Krótko mówiąc, książka p. Schummera rozszerza trafnie te wiadomości, jakie mamy z jego poprzednich publikacyj. Jako popularny zarys spraw litewskich zasługuje, zdaniem mojem, na uwagę.

W. B—TH

T E A T R

TEATR POLSKI: *Ludzie w bieli*, sztuka w 3 aktach SIDNEYA KINGSLEYA, przełożył z angielskiego G. Olechowski. Reżyserja Warneckiego.

Ludzie w bieli — to szpital, szpitalnicy, doktorzy, pielęgniarze, a naokoło nich wszystko jest na biało: ściany, stoły, krzesła, a srogie przyrządy metalowe błyszczą. Ta sztuka, słaba jako dramat, działa więcej jako film.

Trzeba bowiem sobie uprzytomnić, że niegdyś teatr był równocześnie kinem i ludzie chodzili do teatru, aby np. zobaczyć, jak bóg zjeżdża do ludzi na maszynie, jak aniołki chodzą po niebie, jak rycerz jedzie na łabędziu. Dziś troskę o wierność tych szczegółów odjęło teatrowi kino, a równocześnie — jak ażeby przyspieszyć i wyprzedzić tę likwidację, dekoracje i sprzęty na scenie teatralnej upraszczały się, chudły, z trzech wymiarów stawały się dwu i jednowymiarowe, a przytem coraz niepodobniejsze do rzeczywistości. Fortepian, przy którym niby grano, był tylko namalowany; stoły, przy których się je i pije w *Szczurach wędrownych*, są po malarsku ukośne, tak że kubki się zsuwają, ponieważ „tak oko widzi“ a naśladowanie rzeczywistości byłoby horrendum.

Ale oto mamy „prawdziwy“ szpital, w trzecim zaś akcie mamy jakby prawdziwą operację. Lekarze w bieli, z okutaną na biało głową, wyglądają jak Beduini. Przywozi się chorego i kładzie się go na autentycznym stole operacyjnym, gdzieś chyba wypożyczonym, gdyż podobno kosztuje 3 000 zł. Przypominają mi się te czasy, kiedy w teatrze lwowskim wystawiono *Dzwon zatopiony* i na przednim planie stawiano autentyczne drzewa szpilkowe, aby ich woń podniecała złudę słuchaczy.

Co wywołało tę nową zmianę w metodach inscenizacji? Zmianę, która zresztą może doskonale istnieć obok dotychczasowej metody upraszczającej? Ano, zrobił to reportaż. Skoro pisarze pakują w swoje utwory autentyzm, to i scena powstydzić się nie chce. Ten prąd po wojnie stał się silny. W Sowietach na ulicy odgrywano sceny z rewolucji, wciągano w nie wojsko i tłum. Także różne rękoczyny na scenie, dotychczas tylko zlekka „markowane“ (zaznaczane), stawały się bardziej szczegółowe i „prawdziwe“ — z całusami włącznie. Historyk teatru, badając te zmiany, będzie potem mówił o rozwoju albo o błądzeniach.

Dość że *Ludzie w bieli* dzięki tej inscenizacji są sztuką zajmującą. O jej słabiznach, trywjalnościach, nietaktach nie warto mówić. Najlepsze wrażenie odnosi się w tych chwilach kulminacyjnych, gdzie autor uwydatnia i apoteozuje szczytne powołanie lekarza, gdzie występują kolizje między jego obowiązkiem a potrzebami życia prywatnego. A że tym obowiązkiem jest nietylko niesienie pomocy natychmiastowej choremu, lecz także kształcenia się i ćwiczenia w rzemiośle, coraz wyżej, w nieskończoność, — to jest jeszcze jedna zaleta sztuki. Nauka, tak w medycynie jak w każdym zawodzie, nie zna granic i jest tragedją osobną.

Przedstawienie było staranne i dobre, nieco rozdłużone. P. Warnecki, chirurg-asystent, rola główna,—wiemy, że ten aktor ma w tonie głosu, w całem zachowaniu się tak szczególnie dużo powagi i surowości etycznej, jakiejś siły zniewalającej, która działa nawet wtedy, gdy się nie wysila. P. Woskowski — wielki lekarz wychowujący sobie następców, p. Barszczewska, pielęgniarka, wzruszająca nas krótką swą spowiedzią przed operacją — godni uznania. Pani Nakoneczna ma miły głos, ale posługuje się nim podobnie jak p. Romanówna i Gellówna: jakby ziewająco. Gra chwilami wybornie.

KAROL IRZYKOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

ANTROPOLOGJA A TEATR *

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o wydrukowanie poniższego sprostowania:

P. A. Słonimski, nazywając mnie w jednej z ostatnich kronik *(Wiadomości Literackie)* „pyknikiem“ i nie rokując z tego powodu pomyślnych dla teatru nadziei (z racji mego udziału w kierownictwie literackiem T. K. K. T.), popełnia dwa zasadnicze błędy: dezorjentuje czytelników używaniem słów, których nie rozumie, i w zapale nieumiarkowanej złośliwości zamiast w przeciwnika—trafia w siebie. Błędy wynikły z racji debiutu p. Słonimskiego na polu antropologji, no i niewprawnego jeszcze posiłkowania się nomenklaturą współczesnej typologji. Postaram się wyjaśnić autorowi kroniki pomyłki i naprowadzić na właściwą drogę.

Najpierw zaznaczę, że w podstawowem dziele E. Kretschmera *Körperbau und Charakter* (cytuję wedle wyd. z 1931 r.), ukuty przez Stillera dla praktycznych celów kliniki termin: „asteniczny“ został zastąpiony przez właściwszy: „leptosomiczny“. Ale to drobiazg. Obydwa te terminy: pykniczny i leptosomiczny (vel asteniczny) określają pewną konstytucję cielesną. Typ asteniczny charakteryzuje się następująco: „chudy, smukły, wybujały człowiek, czyniący wrażenie wyższego, niż jest, o suchej, anemicznej skórze i wąskich barkach, z których zwisają chude ręce, zakończone kościstemi palcami; klatka piersiowa długa, wąska, płaska..., pozbawiony tłuszczu brzuch, nogi podobne w charakterze do rąk“ i t. d. (str. 19).

Typ pykniczny charakteryzuje się przez silny rozwój jam ciała (głowa, piersi, brzuch), aparat ruchowy zbudowany delikatniej (str. 27). Czaszka duża, okrągła, szeroka, twarz o harmonijnych rysach... O innych zaletach budowy wzbrania mi pisać wrodzona skromność.

Niech znajomi osądzą, o ile te obrazy odpowiadają autentycznym postaciom, wskazanym przez p. Słonimskiego. Ale mniejsza z tem. To są sprawy zewnętrzne. P. Słonimski napewno byłby przeciwny temu, aby stosować jego metody do niego samego, i aby np. wrażenie jego *exterieuru* miało być miarą jego wartości wewnętrznej.

Ale co ma budowa ciała wspólnego z pracą literacką w teatrze? To zagadnienie najbardziej zaniepokoiło mnie w wywodach p. Słonimskiego.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa p. Słonimski dodatkowo pomylił terminy, oznaczające konstytucję somatyczną, z innemi, które określają typy psychiczne—odpowiadające (wyżej wymienionym) fizycznym. Chciał więc powiedzieć, że ja jestem cyklotymikiem. Doprawdy p. Słonimski jest zbyt uprzejmy, bo oto co czytam na str. 175 o cyklotymikach: „Są to ludzie z głową na karku *(das Herz auf rechtem Flecke)*, zdolni, którzy wszędzie okazują się przydatni. Są przeładowani robotą. Wszystko co robią ma zdrowy sens *(Hand und Fuss)*, są zręczni, rezolutni, są tęgimi organizatorami, dobrymi medjatorami, umieją rozwiązywać sprzeczności, wypowiadają jasno i szczerze co mają na myśli, zawsze są w dobrym humorze“... i t. p.

Oczywiście nawet w części nie posiadam tych zalet, ale otuchą i dumą napawa mnie fakt, że pyknikiem również był Goethe, doskonały dyrektor teatru i naogół dość ceniony poeta i dramaturg.

Jeżeli znów chodzi o schizotymików (asteników?), to Kretschmer zalicza do nich Schillera, Grillparzera, Hebbla, Kleista i innych...

Co się zaś tyczy uwagi p Słonimskiego, że związek pyknika ze schizotymikiem jest niebezpieczny dla pracy teatralnej, to pozwolę sobie zauważyć, że cechy obu tych typów łączył m. inn. William Shakespeare, znowu organizator i kierownik teatru oraz nienajgorszy pisarz dramatyczny. W *Ludziach genjalnych* tegoż Kretschmera (wyd. pol. str. 101) figuruje on wśród schizotymików, lecz w *Körperbau und Charakter* (str. 214) autor wyraźnie stwierdza, że element cyklotymiczny (pykniczny) występował u tego pisarza jako zupełnie samodzielny czynnik.

Jest mi naprawdę przykro, że muszę prostować tak uczciwego, skrupulatnego i odpowiedzialnego za każde słowo publicystę jak p. Słonimski. Nie chciałbym tylko, aby pod wpływem pierwszych potknięć zniechęcił się do antropologji, jako nowej podstawy dla swoich charakterologicznych dociekań.

LEON POMIROWSKI

* Uwagi te są nieco spóźnione, ponieważ list powyższy początkowo przesłany był do *Wiadomości Literackich*, w przekonaniu, że—zgodnie z dobremi obyczajami dziennikarskiemi—sprostowanie powinno się ukazać w piśmie, w którem pojawiły się niezgodne z prawdą informacje. Redaktor *Wiadomości Literackich* stanął na innem stanowisku, list przetrzymał i o decyzji swej mnie nie zawiadomił; stąd zwłoka.

NADESŁANE

Studja reżyserskie, których brak polska kultura teatralna oddawna odczuwała, zostały zorganizowane przez Ministerstwo W. R. i O. P. przy Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, pod dyrekcją Aleksandra Zelwerowicza. Kierownictwo naukowe Wydziału Sztuki Reżyserskiej powierzono Leonowi Schillerowi.

W ciągu 3 lat adepci zdobywają przygotowanie techniczne i teoretyczne w zakresie inscenizacji i reżyserji oraz wykształcenie dramaturgiczne i teatrologiczne, potrzebne każdemu nowoczesnemu reżyserowi i kierownikowi artystycznemu teatru.

Z dziedziny teorji wykładane są następujące przedmioty: historja teatru, historja dramatu, historja opery, historja tańca widowiskowego, historja kultury, główne kierunki filozoficzne w wielkich epokach teatru, socjologja teatru, psychologja twórczości aktorskiej i psychologja widza, analizy tekstów powieściowych i dramatycznych, zagadnienia inscenizacji i reżyserji nowoczesnej, encyklopedja muzyki, estetyka, nauka o wierszu, teorja dramatu, kostjumologja, scenografja.

Wykładający: K. Husarski, T. Terlecki, J. Starzyński, K. Stromenger, S. Głowacki, H. Elzenberg, A. Hertz, I. Filozofówna, L. Schiller, P. Pulikowski, K. Wóycicki, S. Essmanowski, H. Łagowski, Wł. Daszewski.

Ćwiczenia techniczne obejmują: umuzykalnienie, ćwiczenia ruchowe, ćwiczenia aktorskie, technika wokalna, rysunki odręczne, ćwiczenia inscenizacyjno-dramaturgiczne w zakresie dramatu monumentalnego, różnych form widowisk stylowych i stylizowanych rea- i neorealistycznych, seminarja reżyserskie, inscenizacja widowisk muzycznych i czytanie partytur.

Słuchacze Wydziału Sztuki Reżyserskiej zdobywają praktykę na scenach teatrów Tow. Krzew. Kul. Teatr., przy montażu większych widowisk pracując w charakterze asystentów, pod kierunkiem profesorów reżyserji, oraz reżyserując samodzielnie na scenie teatru Państw. Instytutu Szt. Teatr. i studja eksperymentalnego. Pracami technicznemi kierują profesorzy: S. Wysocki, T. Wysocka, E. Wiercińska, S. Stanisławski, J. Marso, W. Daszewski, L. Schiller, A Szpak, A. Zelwerowicz, K. Borowski, A. Węgierko. Malarze-dekoratorzy teatralni odbywają studja dwuletnie, korzystając z niektórych przedmiotów wykładanych w Akademji Sztuk Pięknych. Praktyka na scenach i w pracowniach teatrów T. K. K. T.

Uczelnia posiada bogatą bibljotekę teatrologiczno-dramaturgiczną.

Wszelkich informacyj udziela Sekretarjat P. I. S. T. (Trębacka 10, IV p.) codziennie od godz. 17—19. Telefon 2-15-72.

*

W dniach 5—8 lipca b. r. obradował w Krzemieńcu Zjazd Muzyków, zorganizowany przez Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej. Zjazd wysłuchał referatów pp. F. Łabuńskiego, R. Palestra, T. Szeligowskiego i St. Śledzińskiego i przeprowadził dyskusję nad temi referatami oraz całokształtem zagadnień życia muzycznego w Polsce. Wynikiem obrad Zjazdu jest obszerna uchwała, zawierająca postulaty w sprawach: uporządkowania zawodu muzycznego i powołania Izby Muzycznej, reorganizacji szkolnictwa muzycznego, propagandy muzyki współczesnej, amatorstwa muzycznego, muzyki kościelnej i innych.

Uchwała Zjazdu została złożona P. Ministrowi W. R. i O. P.

Prosimy zainteresowanych WP. Prenumeratorów o opłacenie należności na III kwartał załączonym przekazem rozrachunkowym.

W Administracji są jeszcze do odebrania premje książkowe na sumę około 200 zł.

WP. Prenumeratorów, którzy opłacili całoroczną prenumeratę prosimy o zgłaszanie zamówień na książki, podane w Nr. 11 (76) tygodnika *PION*.

Każdy prawdziwy przyjaciel tygodnika *PION* powinien zyskać choć jednego prenumeratora.

*

***PION* jest do nabycia w kioskach i księgarniach „Ruchu“ na dworcach kolejowych.**

*

Żądajcie tygodnika *PION* w cukierniach i kawiarniach.

SPROSTOWANIE

W artykule R. Ingardena *Monachomachji humanistycznej ciąg dalszy* (*Pion*, nr. 30) należy poprawić następujące błędy druku: Kolumna I. w. 41 od góry: zamiast: „żeby sami nie robili“ ma być „żeby sami nic nie robili“.—Kolumna I, w. 24, od dołu: zamiast „teorji literatury“ ma być: „teorji teorji literatury“.—Kolumna III, w. 7, od dołu w uwadze (5): zamiast: „sposobów“ ma być: „sporów“. Kolumna IV, w. 14, od góry: zamiast: „prof. K. Kridl“ ma być: „prof. M. Kridl“.

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.